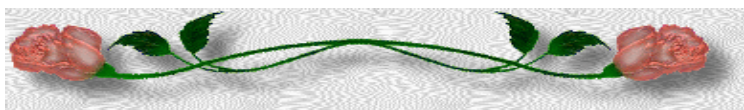


**CHRISTINE RIMMER**

# **Letnie szaleństwo**



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Dobrze, Cody, zajmę się tym... jeśli chcesz...

W głosie kobiety brzmiało wahanie. Cody McIntyre nie usłyszał propozycji, częściowo dlatego, że była zbyt cicha, a częściowo - ponieważ wpatrywał się w słuchawkę, którą przed chwilą rzucił na widełki. Opadły go ponure, mordercze myśli. Zapragnął usunąć z tego świata „eksperta” z Hollywood, który miał zjawić się w Emerald Gap poprzedniego dnia, a teraz zadzwonił, aby oświadczyć, że nie przyjedzie.

- Cody...

Tym razem usłyszał.

- Hm? - mruknął pytająco, zerkając na swą księgową.

Znał ją całe życie. Juliet Huddleston siedziała przy biurku w rogu pokoju. Przed sobą rozłożyła listę płac.

- Mówiłaś coś, Julie?

Może należałoby pozwać drania do sądu, myślał Cody. Właściwie procesowanie się budziło w nim sprzeciw. Uścisk dłoni uważał za równie wiążący jak podpisanie umowy. Z ludźmi, którzy sądzili inaczej, zrywał po prostu współpracę.

Juliet obróciła się do niego i spojrzała mu prosto w oczy.

- Powiedziałam, że to zrobię.

Cody nie miał pojęcia, o co jej chodzi, ale doszedł do wniosku, że sprawa jest szczególna. Nieśmiała Julie wyglądała tak poważnie, że zaniepokoił się.

- Dobrze się czujesz, Julie?

- Tak. - Wyprostowała się i obciągnęła szary żakiet. - Chcę to zrobić - oświadczyła zdecydowanym tonem.

- Hm, co chcesz zrobić?

Odkaslnęła.

- Chcę pokierować tegorocznym festynem.

Cody wpatrywał się w nią ze zdumieniem. Propozycja tak go zaskoczyła, że przez chwilę nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Ty chcesz poprowadzić Letnie Szaleństwo? - spytał z niedowierzaniem.

Juliet dostrzegła jego zdziwienie. Zamrugowała i wydawało się, że znów staje się sobą. Nie poddała się jednak.

- Tak - potwierdziła z lekkim wahaniem.

Cody przecesał włosy palcami, chcąc zyskać na czasie. Zawsze lubił Julie. Opiekowanie się nią już w dzieciństwie uważał za swój obowiązek. Była tak delikatna, że nie chciał jej rozczarować. Niestety, nie nadawała się na dyrektora. Jeszcze raz przeklął w duchu profesjonalistę, którego usiłował wynająć. Przez niego musiał teraz zranić uczucia Julie. Ze smutkiem potrzęsnał głową.

- To miło z twojej strony, Julie, ale musimy być realistami. Prowadzenie festynu nie jest zadaniem dla ciebie.

Błysk nadziei zniknął z jej oczu i Cody poczuł się jak szczur. Przygarbiła się i obróciła do biurka.

Cody ruszył do niej, chcąc złagodzić odmowę. W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę! - krzyknął.

Drzwi otworzyły się. Z pobliskiej kuchni dobiegł brzęk naczyń. Biuro Cody'ego przylegało do baru z grillem „McIntyre”. I biuro, i restauracja należały do niego. Miał też sklep z towarami żelaznymi na tej samej ulicy i farmę za miastem. Cody był zapracowa-

nym człowiekiem. Zbyt zapracowanym, pomyślał, żeby kierować w tym roku festynem. Niestety, właśnie musiał to zrobić. Wszyscy przedsiębiorcy wypełnili już zaszczytny obowiązek; w tym roku nadeszła jego kolej. Zatrudnienie eksperta uznał za fantastyczny pomysł i nawet udało mu się przekonać komitet organizacyjny. Oto, jak kończą się marzenia o ekspertach...

- Jesteś, diable. Barman powiedział, że cię tu znajdzie.  
- W drzwiach stanęła zgrabna brunetka, ubrana w dzinsy pomalowane w kolorowe wzorki. Wydeła usta. - Pamiętasz mnie?

Cody w dzieciństwie odebrał staranne wychowanie. Usiłował być taktowny, choć nie pamiętał, aby kiedykolwiek widział tę kobietę.

- Przepraszam panią, ale nie przypominam sobie, gdzie się poznaliśmy.

Ze swego miejsca mógł widzieć kuchnię. Elroy, zmywający naczynia na dziennej zmianie, przerwał szorowanie garnka i rzucił Cody'emu dwuznaczne spojrzenie.

- Proszę wejść i zamknąć drzwi - zaprosił kobietę Cody.

Z zamykania drzwi nieznajoma zrobiła całe przedstawienie. Spojrzała w stronę Juliet i wrzuciła ramionami, jakby postanowiła udawać, że księgowej nie ma w pokoju. Później oparła się o framugę i westchnęła, prawdopodobnie chcąc zwrócić uwagę na swój obfity biust.

- Miałam nadzieję, że zadzwonisz do mnie.  
- Przepraszam, kim pani jest?  
- Boże, ależ z ciebie wspaniały kawał chłopa!  
- Czy nie zamierza pani przedstawić się?  
- Jestem Lorena. Napisałam to na pudełku zapalek, które dałam tej rudej kelnerce. To było w zeszłą sobotę. Śpiewałeś piosenkę Gartha Brooksa. Ja

siedziałam przy stoliku w kącie. Byłam z chłopakiem, ale szepnęłam tej kelnerce, żeby wyjaśniła ci moją sytuację. Jestem wolną kobietą, chętną i gotową do poznania takiego niesamowitego faceta jak ty...

- A więc nie spotkaliśmy się przedtem?

Juliet, siedząca przy biurku, wszystko słyszała. Powstrzymała współczujący uśmiech. Na chwilę prawie zapomniała o własnych problemach. Usiłowała nie zwracać uwagi na biednego Cody'ego, rozmawiającego z jeszcze jedną wielbicieleką.

- No, to nie było oficjalne spotkanie - przyznała brunetka. - Ale daj temu spokój; przyznaj, że widziałeś mnie. Nie próbuj tego ukrywać. Ty też poczułeś to, kiedy nasze spojrzenia skrzyżowały się. Bum! Jak wstrząś! Grom z jasnego nieba.

- Proszę pani, nie mógłbym wyznać, że przydarzyło mi się to, co pani opisuje...

Juliet pokręciła głową. Biedny Cody. Kobiety nie dawały mu spokoju. Umiał grać na harmonijce ustnej i gitarze. Miał niski, zmysłowy głos i czasem sam układał piosenki. Gdy był w dobrym nastroju, śpiewał w barze. Doprowadzał kobiety do szaleństwa. Co więcej, Cody McIntyre był nie tylko muzykiem i piosenkarzem, ale również wspaniałym mężczyzną.

- Skarbie... - Brunetka oparła rękę o biodro i znów westchnęła. - Mogę sprawić, że przydarzy ci się to. Daj mi tylko szansę. - Zerknęła na niego tak, jakby chciała połknąć go żywcem.

Właściwie Juliet była w stanie zrozumieć pożądanie brunetki. Prawie wszystkie kobiety czuły to samo, patrząc na Cody'ego. Mógłby być księciem z bajki dla dorosłych kobiet.

Pod szerokimi brwiami lśniły szarozielone oczy. Miał bardzo kształtny nos, z lekko rozszerzonymi nozdrzami. Sugerowały one wrażliwość, a zarazem

upewniały kobiety, że Cody potrafi ująć sprawy we własne ręce. Usta stanowcze, ale czułe, miały tendencję do unoszenia się w prawym kącie, gdy się uśmiechał. Podbródek był silnie zarysowany, lecz bynajmniej nie kwadratowy. W brązowych włosach lśniły złotawe pasemka. Poza tym Cody posiadał cechę najważniejszą u przystojnego mężczyzny: własny wygląd zupełnie go nie obchodził. W dodatku był naprawdę dobrym człowiekiem.

Brunetka nadal stała oparta o drzwi i wzdychała. Juliet wypełniała kolejny czek i usiłowała skoncentrować się na pracy. Nie udało jej się. Zastanawiała się nad biednym Codym, napastowanym przez kobiety, a potem doszła do wniosku, że między nim a nią istnieje pewne podobieństwo.

Dziwne. Ona była prawie niewidoczna, tak zwyczajna i przeciętna, że każdy, szczególnie mężczyźni, mógł patrzeć przez nią, nie widząc jej. Cody był ideałem mężczyzny z krwi i kości. Mimo to mieszkał sam, tak jak ona. Jakoś nie mógł znaleźć odpowiedniej kobiety wśród rzucających mu się do stóp wielbicielek. Przez chwilę Juliet współczuła mu bardziej niż sobie.

Poprawka, pomyślała karcąc się w duchu. Nie współczuję sobie. Już nie. Od teraz sama kieruję swoim życiem. Następne trzydzieści lat będzie bardziej emocjonujące albo umrę, próbując to osiągnąć.

Tak brzmiało postanowienie urodzinowe Juliet Titanii Huddleston. Złożyła przysięgę cztery miesiące temu, w dniu ukończenia trzydziestu lat. Nikomu o tym nie powiedziała. Po pierwsze, nikt nie pytał, a po drugie: była to wyłącznie jej osobista sprawa.

Juliet podjęła już pewne kroki, aby wypełnić swe przyrzeczenie. Zamierzała posuwać się coraz dalej, aż do osiągnięcia celu.

Myśląc o swym postanowieniu, wyprostowała się

na krześle. W tym czasie brunetka przemknęła przez pokój do biurka Cody'ego. W powietrzu rozniósł się zapach piżma.

- I co powiesz, kochanie? - zapytała cicho. - Co powiesz na nas dwoje, butelkę wina i olbrzymi księżyc w pełni?

Cody delikatnie odmówił i skierował kobietę do drzwi. Udało mu się wyprowadzić ją z pomieszczenia, zanim zorientowała się, że odrzucono jej propozycję.

Juliet pilnie wypełniała ostatni czek, gdy na biurko padł cień.

- Julie?

Uniosła głowę i spojrzała na Cody'ego pytająco.

Jęknęła w duszy, zdając sobie sprawę ze swej wrodzonej potulności. Później jednak pomyślała sobie, że nikt nie zdobywa pewności siebie w ciągu jednej nocy. Krok po kroku wyeliminuje wszystkie słabości. Nie należy jednak oceniać siebie zbyt ostro, jeśli raz czy drugi zdarzy się jej potknąć.

- Już w porządku? - zapytał.

Wiedziała, o czym mówi. Chciał się upewnić, że zaakceptowała jego odmowę. Kierowanie Letnim Szaleństwem nie było pracą dla niej. Juliet zastanowiła się. Prawdopodobnie miał rację. Nigdy w życiu niczym nie kierowała. Mówienie ludziom, co mają robić, nie leżało w jej charakterze. Niektórzy rodzą się przywódcami i żyją w blasku reflektorów; przeznaczeniem innych jest siedzenie na zapleczu i wypełnianie rachunków. Juliet doskonale wiedziała, do której kategorii należy. Otworzyła usta, chcąc powiedzieć, że rozumie, dlaczego Cody nie chce dać jej szansy.

Coś ją powstrzymało. Przypomniała sobie o urodzinowym przyrzeczeniu. Jeśli chciała od życia czegoś więcej, musiała sama po to sięgnąć.

Postanowiła nie poddawać się tak łatwo.

- Mogę... to zrobić, Cody. Pozwól mi spróbować.

Na twarzy mężczyzny odmalował się ból. Odszedł, usiadł na biurku i spojrzął na swój but.

- Posłuchaj, Julie - zaczął, nie patrząc na nią.

- Wydaje mi się, że nie. przemyślałaś tego.

- Przemyślałam, naprawdę. Daj mi szansę.

Uniósł głowę. W jego oczach była cierpliwość i przekonanie, że kobieta prosi o coś, z czym sobie nie poradzi. Patrzyła na niego twardo. Doświadczała emocji naprawdę dziwnych dla kogoś, kto całe życie był nieśmiały.

Tą emocją była irytacja. Dlaczego Cody miał pewność, że kierowanie festynem okaże się katastrofą? Być może przywództwo nie było jej najmocniejszą stroną, ale jakieś talenty przecież miała. Zdobyła stopień naukowy i prowadziła własne biuro rachunkowości, a więc posiadała wymagane zdolności organizatorskie. Prawie co roku w jakimś stopniu uczestniczyła w festynie. Wiedziała, co należało zrobić.

- Julie - powiedział Cody ze zrozumieniem - bądź realistką. Musiałabyś przygotować paradę na otwarcie, nie mówiąc o balu Gorączki Złota i rewii Letniego Szaleństwa. Jak masz zamiar to zrobić, skoro zwykle muszę prosić cię dwa razy, zanim usłyszysz, co mówię?

Juliet skuliła ramiona. Cody miał rację, nie dałaby sobie rady. Taka nieśmiała myszka jak ona... Nie, nawet za milion lat.

Zaraz, chwileczkę, zaprotestowała nowa Juliet. Kto w zeszłym tygodniu ukończył trening pewności siebie i uświadomił sobie, jak formułować swe cele i jak do nich dążyć? Kto od kwietnia co piątek jeździł do Auburn, usiłując przezwyciężyć lęk przed publicznością? Kto stawał na podium trzy razy w ciągu ostatnich dwóch miesięcy i za każdym razem wypadał coraz lepiej? Ja, właśnie ja.

- Umiem przemawiać, jeśli się zmuszę - powiedziała głośno. - Pracowałam nad tym.



Cody przyglądał się jej ze zdumieniem. Dlaczego Julie chciała podjąć się tego zadania i w dodatku upierała się? Potem wymyślił sposób rozwiązania problemu raz na zawsze.

Wstał.

- W takim razie, dobrze - oświadczył, jakby poddając się.

Zamrugała gwałtownie.

- Zgadzasz się? Pozwalasz mi?

- To nie zależy ode mnie.

- Co masz na myśli?

- To - wzruszył ramionami - że dziś o siódmej możesz przyjść na zebranie stowarzyszenia kupców.

Bezceremonialne słowa zabrzmiały okrutnie, wiedział to. Julie nigdy nie stanie przed grupą ludzi, aby wygłosić przemowę. Teraz nie miała wyboru i musiała się wycofać.

Nie patrząc na nią, ruszył do swego biurka. Juliet milczała. Pomyślał, że z pewnością czuje się dotknięta, jak zawsze, gdy ktoś proponował jej wykonanie czegoś, co zwracało na nią uwagę. Nie chciał widzieć wyrazu jej twarzy, na której odzwierciedlały się męki nieśmiałości. Mimo to, odrobina cierpienia teraz była lepsza niż pozwolenie na realizację wariackiego pomysłu kierowania Letnim Szaleństwem.

Dorzucił twardo:

- Możesz wywołać sensację twierdząc, że wynajęcie cię do tej pracy jest wspianiałym pomysłem. Równie dobrze możesz zmusić się do mówienia teraz, nie sądzisz?

Usiadł na pokrytym skórą krześle. Uśmiechał się łagodnie, pewny, że pozbył się kłopotu. Skoro nieśmiała Julie ma przemawiać na zebraniu, będzie wołała wycofać się.

Spojrzał na nią, przygotowany na widok cierpienia

na jej twarzy. Przez kilka sekund nie rozumiał tego, co zobaczył.

Uniesiony podbródek, zaciśnięte wargi. Wyglądała na zdeterminowaną. Kiedy się odezwała, Cody nie wierzył własnym uszom.

- W porządku - stwierdziła. - O siódmej wieczorem będę przemawiać w stowarzyszeniu kupców.

RS

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Jeśli chodzi o Letnie Szaleństwo - mówiła Juliet spokojnym, czystym głosem - to myślę, że w tym roku możemy zorganizować dobrą zabawę. Muzyką, kjazawsze, zajmą się Barbershop Boys i szkolne chóry. Wydaje mi się, że mogłabym także namówić naszych ulubieńców do wzięcia w tym udziału. Płaskonosy Jake obiecał kilka wierszy.

Juliet puściła oko do starszego, brodatego mężczyzny, siedzącego w pierwszym rzędzie. Jego nos wyglądał tak, jakby kiedyś zderzył się z przeszkodą.

- Jake, jak chyba wszyscy wiedzą, jest szalonym poetą naszego bajkowego miasteczka. Wystawimy także skecz o założeniu Emerald Gap przez grupę poszukiwaczy złota w 1852 roku. Melda Cooks napisała sztukę o powieszeniu Marii Eleny Roderiki Perez Smith, która, jak zapewne pamiętacie, była miejscową praczką, straconą po tym, jak wiosną 1856 roku w czasie kłótni zabiła mężczyznę nożem...

Cody siedział w ostatnim rzędzie, gdzie nie docierały światła reflektorów. Zastanawiał się, o co chodzi. Co się stało z nieśmiałą Julie Huddleston?

Tego popołudnia niemal powaliła go z nóg oświadczając, że będzie przemawiać w stowarzyszeniu kupców. Potem zażądała planów, które miał dostać fachowiec z Hollywood. Z olbrzymim skoroszytem pod pachą skierowała się natychmiast do swego małego biura, dwa domy dalej.

Od razu usiadła przy telefonie, gdyż ludzie, o których twierdziła, że jej pomogą, siedzieli teraz w pierwszym

rzędzie, kiwali głowami, uśmiechali się i wyglądali tak, jakby na jej prośbę byli gotowi skoczyć w przepaść.

Właściwie, dlaczego nie? Początek był trudny. Na podium Juliet wyglądała jak wystraszony królik. Przemogła się jednak.

Ciągnęła:

- A ponieważ jest to kraina złota, myślę, że sobotni bal, już trzeci, powinien być prawdziwą galą. W tym roku urządzimy bal kostiumowy i namówimy mieszkańców, aby ubrali się w stroje z tamtej epoki...

Cody potrząsnął głową. Z jednej strony odczuwał ulgę, gdyż zgromadzeni sprawiali wrażenie, jakby zamierzali zaakceptować Julie. Tym razem udało mu się wykręcić. Z drugiej strony dręczył go niepokój. Patrzył na kobietę stojącą w świetle reflektorów i zastanawiał się, czy w ogóle ją zna.

Cóż za pomysł! Przecież znał ją całe życie. Byli rówieśnikami, razem chodzili do przedszkola i szkoły.

Uśmiechnął się, przypominając sobie pierwszy dzień Julie w przedszkolu. Wychowawczyni, panna Oakleaf, czytała listę obecności.

Julie była zbyt przerażona, aby podać własne nazwisko. Spuściła wzrok, zaczerwieniła się i zaczęły jej drżeć ręce.

Zawsze widział Julie w ten sposób: przerażoną własnym cieniem, skrytą, drżącą, gdy ktoś zwracał na nią uwagę. Zdziwił go fakt, że ukończyła uniwersytet stanowy. Nie rozumiał, jak wytrzymała przebywanie w tłumie. Dokonała tego jednak, wróciła do Emerald Gap i założyła własne przedsiębiorstwo. Wynajęła ją z miejsca i to samo zrobiła połowa kupców i drobnych przedsiębiorców w mieście. Radziła sobie doskonale, choć w spokojny, łagodny sposób. Przynajmniej do tej pory.

Cody westchnął, przypominając sobie, że przez ostatnich kilka tygodni Julie jeździła czerwonym,

sportowym wozem. Zauważył ten samochód na farmie przed swoim domkiem letniskowym. Brązowe, ekonomiczne auto gdzieś zniknęło.

Trzy miesiące temu postanowił wynająć swój domek letniskowy. Wzięła go Julie. Nie przyszło mu do głowy, aby zapytać, dlaczego nagle postanowiła wyprowadzić się z dużego domu w mieście, który zostawili jej rodzice, do willi oddalonej o dwadzieścia cztery kilometry od większości jej klientów. Ucieszył się, że tak szybko znalazł kogoś, na kim mógł polegać. Teraz jednak zastanawiał się...

Nie, w ten sposób nie dowie się zbyt wiele. Mieszkali o trzysta metrów od siebie, ale równie dobrze mogło to być trzysta kilometrów. Oboje dbali o swoją prywatność.

Na podium Juliet zaśmiała się. Był to nieśmiały, lecz czarujący śmiech. Proste, jasne włosy lśniły w świetle reflektorów.

Cody uniósł się w krzesło, usiłując znaleźć wygodniejszą pozycję dla nóg. Nie mógł zrobić tego, na co miał ochotę: położyć ich na oparciu sąsiedniego krzesła. Andrea Oakleaf siedziała w sąsiednim rzędzie i miała jeszcze nawyki nauczycielki. Gdyby odwróciła się i zobaczyła jego buty na oparciu, z pewnością zwróciłyby mu uwagę.

Juliet opowiedziała dowcip. Przez salę przetoczył się śmiech.

Zmienia się, pomyślał Cody. Jego pracowita, lękliwa księgowa nie była już tak lękliwa. Co sprawiło, że po tylu latach zdecydowała się wyjść z cienia?

Może powinien zaprosić ją na kolację i wypytać? Byli przecież przyjaciółmi. Nie ma nic złego w spędzeniu razem wieczora czy dwóch. Mogliby pośmiać się, wspominając dawne czasy, i poznać się lepiej.

Cody wyprostował się i porzucił głupie myśli.

O co chodzi, do diabła? Zastanawiał się, co dzieje

się z Julie. Może lepszym pytaniem byłoby: co się dzieje z nim? Skąd takie zainteresowanie kobietą, którą znał niemal od pieluch?

Postanowił nie myśleć, o tym. Nic się nie stało. Zerknął na podium i zobaczył Julie. Nie mógł usiedzieć spokojnie. Położył nogi na oparciu fotela, przypomniał sobie pannę Oakleaf i zdjął je. Obcasy uderzyły nieco zbyt mocno o podłogę i Andrea Oakleaf odwróciła się, rzucając spojrzenie w jego stronę. Cody trzymał więc nogi na podłodze i starał się kontrolować swe zachowanie.

Juliet skończyła przemawiać. Zeszła z podium, odprowadzana oklaskami. Usiadła na składanym krzeselku po lewej stronie podwyższenia. Zaczęły padać pytania, na które musiała odpowiadać. Melda Cooks zapytała, jak Juliet zamierza obsadzić role w sztuce. Juliet przypomniała sobie zeszłe lata. Gdy organizowali próby, nikt nie przychodził; gdy prosili konkretne osoby, niektórzy czuli się pominięci. Postanowiła więc połączyć dwie metody: dzień prób, a później rozdzielenie pozostałych ról wśród zaproszonych ludzi. Oczywiście, trzeba by zaapelować do ich „świadomości społecznej”. Mówiąc o „świadomości społecznej” Juliet uniosła brwi i publiczność zaśmiała się. Wiedzieli, co miała na myśli: w końcu jakieś wrażliwe duszyczki zareagują na ich prośby.

Babe Allen zauważyła, że Juliet nie powinna oczekiwać zapłaty takiej, jaką miał otrzymać fachowiec z Hollywood. Juliet, przygotowana na to, uśmiechnęła się słodko i odpowiedziała, że może pracować społecznie, pod warunkiem, iż kupcy sfinansują budowę parku przy Commercial Street.

Brzmiało to tak prosto. I zabawnie. Przedstawiła im swoje propozycje i wyglądało to rozsądnie. Ludzie słuchali.

Zdumiewające. Cud.

Zaczęło się głosowanie i przyjęto kandydaturę Julie. Musiała znów stanąć na podium. Podziękowała krótko i poprosiła członków komitetu organizacyjnego o spotkanie w holu po zebraniu. Poskładała materiały i wyszła przez boczne drzwi.

W ciągu pół godziny zjawili się wszyscy zaproszeni. Jake, który był nie tylko poetą, ale również pracował na pół etatu w gazecie *Emerald Gap Bulletin*, podjął się zająć plakatami i ogłoszeniami w prasie o próbach dla aktorów w poniedziałek wieczorem. Reva Reid, prezes komitetu parady, miała potwierdzić listę wszystkich tematów i wydarzeń. Ludzie od wyścigów żab zgodzili się zaplanować wszystko do wtorku wieczorem, kiedy to komitet festiwalowy miał znów się spotkać. Andrea Oakleaf zgłosiła się na ochotnika do sprawdzenia w Komisji Parku Pine Grove, czy jest pozwolenie na wielki piknik zamykający festyn. Burt Pandley przyrzekł znaleźć do następnego piątku przynajmniej jeszcze dwunastu uczestników wystawy rzemiosła i przemysłu, która miała się odbywać w sali rady miejskiej przez całe dziesięć dni festynu.

Minęła dziewiąta, gdy Juliet wreszcie opuściła budynek. Była ciepła, bezksiężycowa noc. Kobieta stanęła przy drzwiach. Drżała z podniecenia i z dumy. Wzięła głęboki oddech, rozkoszując się zapachem sosen i jodeł.

W świetle staromodnych, gazowych latarni Broad Street wyglądała przepięknie. Na rogu po przekątnej widać było okna restauracji Cody'ego.

Zastanawiała się, gdzie on zniknął. Wieczorem czekał na nią w pierwszym rzędzie sali. Życzył jej szczęścia, wstąpił na podium i w kilku słowach wyjaśnił sprawę profesjonalisty z Hollywood. Przedstawił Julie i opuścił podwyższenie.

Potem zapomniała o nim, przejęta i wystraszona, gdyż musiała zacząć przemawiać.

Uśmiechnęła się. Na pewno szybko go zobaczy. Nie tylko pracowała dla niego i mieszkała na jego farmie, ale również wpadali na siebie prawie codziennie. Co za rozkosz będzie podokuczać mu i wypomnieć brak wiary. Wiedziała, że zawstydzi go i wywoła na jego twarzy ten uroczy półuśmiech.

Zadrżała, choć ciepła noc nie usprawiedliwiała gęszej skórki. To dziwne, że chciała dokuczać Cuddy'emu. Tak naprawdę nie leżało to w jej charakterze.

A raczej kiedyś nie leżało. Teraz, odniósłszy sukces, Juliet zaczęła uważać, że może być taka, jaka zechce. I jeśli miała ochotę podroczyć się z przyjacielem, dlaczego nie mogłaby tego zrobić? Nic w tym złego...

- Dobra robota, Juliet.

Podsłoczyła, jakby przyłapano ją na brzydkich myślach.

- Och! - zachichotała z poczuciem winy. - Zaskoczyłeś mnie, Jake.

Twarz Płaskonosęgo Jake'a zmarszczyła się z rozbawienia.

- To ty nas wszystkich zaskoczyłaś, dziewczyno. Cholernie dobre wystąpienie.

- Dziękuję.

- To my dziękujemy - odrzekł Jake. - Nareszcie możemy mieć prawdziwego kierownika.

- Postaram się, aby wszystko wypadło jak najlepiej.

Jake skinął głową, odwrócił się i ruszył w stronę zielonej półciągarówki, którą miał chyba od zawsze.

Juliet stała bez ruchu. Napawała się pochwałą Jake'a i patrzyła na ulicę. Znała ją całe życie, ale dziś wydawała się jej najpiękniejszym miejscem na ziemi. Potem zaczęła iść w stronę restauracji i zaparkowanego przed wejściem samochodu.

Zatrzymała się i popatrzyła nań bezmyślnie. Tej nocy czuła się wyjątkowo dobrze, a samochód wzmagił jeszcze pozytywne odczucia.



Niski, długi i wąski, miał kolor płomiennie szkarłatny. Sprzedawca powiedział, że ma osiem cylindrów, sugerując, iż to bardzo dużo. Prawdopodobnie w obecnych czasach było to niemoralne. Z całą pewnością Juliet czuła się niemoralnie kupując benzynę, co robiła często. Samochód nie zaliczał się do praktycznych, nie był też zupełnie nowy. Poprzedni właściciel przejechał sporo kilometrów. Ale sprzedawca zapewnił ją, że wóz jest w doskonałym stanie. Zresztą nie kupiła go z praktycznych powodów.

Zobaczyła go, zapragnęła i teraz należał do niej. Dla Juliet samochód był symbolem, materialnym wskaźnikiem sposobu, w jaki tworzyła nowe życie. Popatrzyła nań przez chwilę w tę szczególną noc i pomyślała, że jest najpiękniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek widziała.

Zdjęła szary zakiet, wepchnęła wraz ze skoroszytem na tylne siedzenie i wsunęła się za kierownicę. Samochód był tak niski i wąski, że wydawało się, jakby leżała na przednim fotelu. Uczucie było wspaniałe.

Przeciagnęła się, westchnęła, otworzyła okno i rozpięła dwa górne guziki białej bluzki. Ciepłe powietrze wpadało przez okno i chłodziło jej gardło.

Co za rozkosz, pomyślała Juliet. Takie siedzenie w samochodzie jest absolutnie rozkoszne.

Potem zachichotała. Rozkoszne, też pomysł. Szczególnie dla takiej szarej myszki jak ona, uważanej przez całe miasto za starą pannę.

Wiatr studził zaczerwioną twarz. Juliet przypomniała sobie, że każdy od czasu do czasu miewa seksualne myśli, nawet trzydziestoletnie dziewice, które powinny wiedzieć lepiej.

Ale niby dlaczego powinna wiedzieć lepiej? Kobieta, która potrafi zrobić to, co ona dzisiejszego wieczoru, z pewnością umiałaby zdjąć ubranie i przeżyć intymne chwile z mężczyzną.

Oczywiście pod warunkiem, że byłby to odpowiedni mężczyzna.

Wkładając kluczyk do stacyjki Juliet zastanawiała się, jaki powinien być ten odpowiedni mężczyzna.

Musiałyby być dobry, czuły i dowcipny. Wierny tak jak ona i niezachwiany w swym oddaniu. Przystojny, ale nie zbyt przystojny. Juliet była przecież realistką. Chciała mężczyzny na całe życie. Bardzo przystojni mężczyźni, tacy jak na przykład Cody, zawsze byli adorowani przez wiele kobiet.

Juliet przekręciła kluczyk i natychmiast zapomniała o cechach odpowiedniego mężczyzny. Stało się coś dziwnego i nieoczekiwanego: mianowicie nic się nie stało. Silnik nie zaskoczył.

Sprawiła, czy wrzuciła luz. Wrzuciła. Poruszyła dźwignią biegów i znów przestawiła ją na luz, żeby się upewnić. Potem jeszcze raz przekręciła kluczyk.

I znowu nic.

Wysiadła, uniosła maskę samochodu i popatrzyła na silnik. Nic jej to nie dało. Juliet nie wiedziała o samochodach nic poza tym, jak je prowadzić i gdzie wlewać benzynę.

Zauważyła jednak, że części pod maską nie wyglądają tak lśniaco i czysto jak wówczas, gdy kupowała samochód. Wydawało się, że gdzieś przecieka olej. Uznała to za dziwne.

- Masz kłopot?

Oddechnęła z ulgą, słysząc znajomy głos. Cody. Jak zwykle, gdy miała problem, zjawiał się przy niej.

Wyrzała spod maski i uśmiechnęła się nieśmiało.

- Cześć. - Jej głos załamał się lekko, ale postanowiła nie zwracać na to uwagi. Nieco mocniej dodała:  
- Samochód nie chce zapalić.

Przez chwilę po prostu stał i patrzył na nią. Było to dziwne. Zastanawiała się, czy nie ma na nosie plamy z oleju albo czegoś innego. Już chciała zapytać,

co jest nie tak, gdy odezwał się, jakby uznał za konieczne wytłumaczenie się.

- Widziałem cię przez okno. - Wskazał na restaurację.

- Och! - rzuciła myśląc o tym, jak rozparła się na siedzeniu, rozpięła bluzkę i myślała o rozebraniu się dla mężczyzny. Cały ten czas była obserwowana? Poczwała, że się czerwieni.

Nie miało to sensu. Nawet jeśli Cody obserwował ją, czego nie była do końca pewna, w wyciągnięciu się na fotelu i rozpięciu bluzki nie było nic złego. To, co myślała, było jej sprawą i nie mógł tego wiedzieć.

Ciągle patrzyli na siebie. Zastanawiała się nad czymś, co nigdy nie przyszło jej do głowy: o czym myśli Cody?

Otworzyła usta, chcąc go o to zapytać, gdy nagle mężczyzna jakby otrząsnął się i spytał:

- Chcesz, żebym rzucił okiem?

Prawie zapytała: „Na co?”, ale natychmiast przypomniała sobie. Samochód. Chciał obejrzeć jej samochód.

- Tak, świetnie. Dziękuję.

Zajrzał pod maskę i poruszył kilkoma przewodami. Potem zdjął kilka nakrętek.

- Akumulator w porządku - mruknął. - Nic się nie odłączyło.

Zerknął na Julie, stojącą na chodniku.

- Wsiądź i spróbuj zapalić.

Zrobiła to, lecz nic się nie zmieniło. Cody poprawił jeszcze coś, ale bez skutku. Po trzeciej próbie zapytał:

- Czy miałaś kiedyś podobne kłopoty?

- Nie, nigdy.

- A teraz, kiedy przekreśliłaś kluczyk pierwszy raz, czy coś się stało?

Potrząsnęła głową.

- Nic, nawet nie zawarczał?

- Zupełnie nic.

- W takim razie to nie akumulator. Może po

prostu obluźowało się jakieś złącze albo rozrusznik. Do diabła, to może być sto rzeczy. - Wyjął chustkę z kieszeni i wytarł ręce.

- Coś ci powiem. I tak jadę teraz na farmę. Może zabierzesz się ze mną? Do warsztatu możesz zadzwonić jutro.

Juliet, zaniepokojona stanem ukochanego samochodu, potrząsnęła głową.

- Myślisz, że to coś poważnego?

- To, że nie może zapalić...? Raczej nie. Ale uszczelki wyglądają na zużyte i nie trzymają.

- Co to znaczy?

Spojrzał na nią z taką cierpliwością, że wcale nie dodało jej to odwagi. Potem zapytał:

- Gdzie kupiłaś ten samochód?

- Na przedmieściach Auburn, w „Don's Hot Deals”.

- Ile zapłaciłaś?

Powiedziała mu. Spojrzał na nią z politowaniem.

- Do tej pory uważałem cię za osobę praktyczną.

- Wiem - zachichotała, choć nie miała takiego zwyczaju. Potem dodała zuchwale: - Wiele rzeczy we mnie się zmieniło.

- Zauważyłem to.

Przyglądali się sobie. Juliet uznała to za zabawne. Przynajmniej ona bawiła się tym. Patrzenie na Cody'ego sprawiało jej przyjemność.

- Ile jesteś winna? - zapytał w końcu.

- Za samochód?

- Tak.

- Ani centa. Zapłaciłam gotówką.

- Do diabła, Julie!

Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Chciałam go, więc kupiłam.

- Masz jeszcze ten mały, brązowy wóz?

- Nie. Nie chcę już nigdy widzieć brązowego samochodu.

Cody potrząsnął głową.

- Chodźmy. Nie będziemy tak stać całą noc. Zabieraj rzeczy i jedziemy do domu.

Juliet wzięła żakiet i duży skoroszyt i ruszyli w stronę czarnej półciężarówki.

W samochodzie milczeli. Gdy wyjechali z miasta i od farmy dzieliło ich dwadzieścia minut, Cody zaproponował:

- Jeśli chcesz, możesz używać mojej zapasowej ciężarówki, dopóki twój samochód nie będzie sprawny.

Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Zawsze jesteś dla mnie taki dobry. Naprawdę to doceniam.

Poczuł się zażenowany i przez jakiś czas wpatrywał się w drogę. Później stwierdził ponuro:

- Julie, mówiąc uczciwie, kupując ten samochód ściągnęłaś na siebie całą masę kłopotów.

Juliet westchnęła.

- I tak go kocham. Oddam go do naprawy, to wszystko.

Martwiła się trochę samochodem, jednak dziś nawet perspektywa wydania kilku tysięcy dolarów na honorową porażkę nie zrażała jej. Wszystko dlatego, że ona, Juliet Huddleston, która spędziła całe życie w cieniu wypełniając polecenia innych, w tym roku miała pokierować Letnim Szaleństwem. Projekt wydawał się przerażający i zarazem wspaniały.

Otworzyła okno. Ciepły wiatr potargał jej włosy. Obróciła się do Cody'ego, chcąc mu podokuczać tak, jak to sobie wyobrażała.

- Nie podszedłeś, aby złożyć mi gratulacje. Zachichotał.

- Po zebraniu byłaś zajęta rozmową z komitetem. Pomyślałem, że i tak szybko cię zobaczę i będziesz mi wypominać mój brak wiary w ciebie.

- Jak to, Cody, czy kiedykolwiek coś ci wypomniałam?

Zerknął na nią.

- Czy kiedykolwiek prowadziłaś festiwal? Albo posiadałaś czerwony samochód? Albo odnajmowałaś wielki dom po to, żeby wyprowadzić się na prowincję?

- To nie prowincja - upomniała go. - To farma McIntyre. Pragnęłam tam żyć od czasów, gdy byliśmy w pierwszej klasie i twoja mama urządziła to przyjęcie na zakończenie roku szkolnego. No i teraz mieszkam tam.

Tym razem nie zaśmiał się, choć gdy się odezwał, w jego głosie brzmiało rozbawienie:

- Rozumiem. Zamieszkanie w moim domku letniskowym jest spełnieniem marzenia twego życia.

- Niezupełnie. To nie jest coś tak stałego jak marzenie; raczej chwilowe, jak kaprys.

Odchrząknął.

- Jako twój gospodarz muszę zapytać, jak bardzo to jest „chwilowe”?

- Och, Cody, nie martw się. Powiadomię cię na miesiąc przed wyprowadzeniem się. Zresztą nie nastąpi to za rok czy dwa. Miałam na myśli tylko to, że jest to coś, co zawsze chciałam mieć, ale niekoniecznie do końca życia. To wszystko.

Przez chwilę milczał, rozważając jej słowa. Potem zapytał:

- Julie, co się dzieje?

Zdziwił ją poważny ton. Odpowiedziała lekko przestraszonym głosem:

- Co masz na myśli?

- Zmieniłaś się. Jesteś inna. Nie zauważyłem tego aż do dziś, kiedy uparłaś się, że poprowadzisz festiwal. Ale to zaczęło się wcześniej, kilka miesięcy temu. Teraz to widzę.

Spojrzała mu w oczy. Obdarzył ją uśmiechem doda-

jącym odwagi i zaczął wpatrywać się w drogę, wiodącą między sosnami.

- Naprawdę chciałbym to wiedzieć, Julie - dodał, nie patrząc na nią.

- Chciałbyś?

Skinął głową.

Nagle zrozumiała, że chce mu powiedzieć. Może dlatego, że był pierwszym, który ją o to zapytał. Może po dzisiejszym wieczorze nabrała pewności siebie i nie musiała już trzymać swego postanowienia w sekrecie. Właściwie powód nie miał znaczenia. Liczył się tylko fakt, że Cody zapytał.

Opowiedziała mu wszystko: o przyrzeczeniu, jakie złożyła w dniu swych trzydziestych urodzin i co zrobiła, żeby je wypełnić. Słuchał, przytakiwał i roześmiał się, gdy opowiadała o pierwszej mowie przed publicznością. Była tak zdenerwowana, że nie kontrolowała swych gestów i przewróciła szklanekę. Woda wylała jej się na buty i przez resztę wieczoru przy każdym kroku słyszała chlupot.

Droga szybko minęła. Juliet właśnie opowiadała Cody'emu, jak bardzo była zdenerwowana, stając na podium, gdy reflektory oświetliły wjazd na farmę. W wysokim murze była brama. Dwa kamienne filary łączył łuk, a na nim, w półkolu, znajdowało się żelazne „M”.

Juliet ze swego miejsca widziała spadzisty trawnik i błękitny róg dużego basenu. W bramie stał Kemo, pies Cody'ego. Machał ogonem. Juliet pomachała do kundla i rzuciła okiem na smukły, dwupiętrowy dom. Skręcili na podjazd, wiodący do domku letniskowego. Skończyła swą opowieść akurat w chwili, gdy samochód zatrzymał się.

- I to wszystko - stwierdziła. - Od tej chwili zamierzam prowadzić nowe życie.

Uśmiechnął się do niej.

- A co będzie potem?

- Kiedy?

- Po Letnim Szaleństwie; po tym, jak dowiedziesz wszystkim, że jesteś najbardziej pewną siebie kobietą w okolicy.

- Prawdę mówiąc, nie myślałam jeszcze o tym  
- wyznała. Wzięła zakiet, skoroszyt i otworzyła drzwiczki. Zeskoczyła na ziemię. - Ale dam ci znać, jak coś postanowię. Oczywiście, jeśli będziesz jeszcze zainteresowany.

Obróciła się i ruszyła w podskokach w stronę domku letniskowego. Nagle przypomniała sobie, że w podnieceniu, wywołanym odniesionym sukcesem, zapomniała podziękować Cody'emu. Na szczęście jeszcze nie odjechał. Siedział w samochodzie z włączonym silnikiem i patrzył za nią. Podbiegła i nachyliła się do okna.

- Dzięki, Cody. Wielkie dzięki.

Pocałowała go w policzek. Był ciepły, trochę szorstki i bardzo miły w dotyku. Potem odwróciła się i odeszła tanecznym krokiem.

Cody obserwował ją ze zdziwieniem. Niech go diabli, przecież jej bluzka była rozpięta. Zauważył słodki cień pomiędzy jej małymi, wysokimi piersiami, gdy pochyliła się i pocałowała go.

Nie mógł tego zrozumieć. Co, do diabła, robiła nieśmiała Julie Huddleston, odsłaniając dekolt i sprawiając, że człowiek zaczynał o niej myśleć w zupełnie inny sposób?

Miał ochotę krzyknąć za nią, żeby zapięła bluzkę. Niestety, weszła już na schody domku. Odwróciła się tylko, aby mu pomachać i zniknęła w środku.

Cody siedział w samochodzie jeszcze jakiś czas. Pomyślał, że polecenie zapięcia się byłoby zarozumiałością z jego strony. Cieszył się, że tego nie zrobił. Zabrzmiałoby to okrutnie, a poza tym uświadomiłoby jej, iż Cody, który nigdy nie spuszczał jej z oka, tym razem spuścił oczy, aby zająrzeć jej za dekolt.



## ROZDZIAŁ TRZECI

Tej nocy Juliet miała problemy z zaśnięciem. Była zbyt spięta, żeby móc po prostu zamknąć oczy i odpłynąć. Otworzyła okno i leżała przykryta tylko prześcieradłem, napawając się odniesionym sukcesem.

Układała plany, myśląc o tym, jak dobrze byłoby znaleźć w tym roku zawodowego licytatora do sprzedaży wypieków ostatniego dnia na pikniku. Postanowiła również dopilnować, aby w wyścigu żab stworzono osobne kategorie dla żab spoza okręgu. Ostatnio turyści kupowali w sklepach zoologicznych żaby z Sacramento, które potrafiły skakać dalej niż krótkonogie lokalne. To po prostu nie było sprawiedliwe.

Uśmiechając się w ciemności, Juliet przewróciła się na bok i spróbowała zasnąć. Ciągłe jednak przychodziły jej do głowy nowe pomysły. Wymyśliła lepszy sposób rozstawienia budek na wystawie przemysłu i rzemiosła i zaczęła obmyślać kostium na bal Gorączki Żłota. Może przebrać się za Marię Elenę Roderikę Perez Smith - nieszczęsną praczkę z lokalnej historii. Albo za jednooką Charlie Parkhurst, która całe życie udawała, że jest mężczyzną. A może za Madame Moustache, piękną właścicielkę lokalu sławnego w całej Newadzie...

Juliet przewróciła się na drugi bok i spojrzała na zegarek. Minęła północ. Naprawdę powinna już spać. Nazajutrz był piątek, normalny dzień pracy. Musiała przygotować wypłaty dla pracowników kawiarni Duana i sklepu z pamiątkami Babe Allen, nie mówiąc już o analizie kosztów tartaku McMulcha.

Rozległo się pianie koguta. Juliet uśmiechnęła się. Znała go. Ptak był tak zręczliwy, że mógł nie spać całą noc i hałasować. Gdy umilkł, usłyszała słodkie dźwięki harmonijki.

To Cody. Grał na srebrnym instrumencie w jemu tylko wiadomy sposób. Przechodził od wysokich, słodkich tonów, powodujących ból serca do niskich i zmysłowych, oddziałujących na całe ciało. Boże, pomyślała Juliet, ten człowiek naprawdę zna się na muzyce. Nic dziwnego, że jego piosenki doprowadzają kobiety do szaleństwa.

Przez chwilę po prostu leżała. Muzyka, wpadająca przez otwarte okno, koiła ją. A potem pomyślała, że dobrze byłoby namówić Cody'ego, aby zagrał na festynie. Proszono go co roku, a on uprzejmie, lecz stanowczo odmawiał. Byłby ozdobą festynu, ale miał za dużo zajęć, aby co noc występować na scenie.

Juliet zamknęła oczy i nuciła cicho, dopóki samokrytycyzm nie nakłonił jej do zamilknięcia. Muzyka Cody'ego czarowała ją.

Tak, pomyślała, gdy zaczął nową melodię, musi go zapytać. Na treningu osobowości nauczyła się, że pytając nic się nie traci. Jeśli ktoś odmawia, człowiek jest w nie gorszej sytuacji, niż był przedtem; jeśli się zgadza, robi się olbrzymi krok do przodu. Poza tym może Cody zgodzi się wystąpić, jeśli to ona go poprosi. Może się zgodzić ze względu na ich długoletnią przyjaźń, szczególnie jeżeli będzie w dobrym nastroju.

Druga melodia skończyła się wysoką nutą. Juliet pomyślała, że mogłaby zapytać go od razu.

Tak, to dobre podejście. Zapytać go od razu, spontanicznie, w środku nocy, gdy żadne z nich nie może spać.

Odsunęła prześcieradło i wstała z łóżka. Nałożyła cienki szlafrok i postanowiła nie przejmować się bosymi stopami. Mogła użyć małej, żelaznej furtki

w murze oddzielającym dwa domy. Oznaczało to spacer po gładkich kamieniach podjazdu i miękkiej trawie.

Wyszła przez tylne drzwi i skierowała się do furtki. Kamienie, nagrzane słońcem, były jeszcze ciepłe. Księżyc nie świecił, lecz na niebie jaśniały gwiazdy. Trawa zdawała się odbijać ich światło, więc Juliet doskonale widziała drogę. Minęła stodołę i stajnie. Gdy otwierała furtkę, Cody zaczynał właśnie kolejną piosenkę.

Po drugiej stronie był zupełnie inny świat. Sześć akrów wypieczzonego trawnika przedzielał żwirowy podjazd, wiodący do garażu. Tuż obok znajdował się basen, teraz podświetlony. Nieco dalej ścieżka, obsadzona krzakami róż, biegła do dwupiętrowego, białego domu z zielonym dachem.

Matka Cody'ego wyjaśniła Juliet, że kiedyś domek letniskowy był głównym domem. Farma była wówczas mniejsza i przypominała raczej ogródek. Prababcia Cody'ego zajmowała się domem, a pradziadek był właścicielem kopalni złota. Kopalnię zamknięto w czasach dziadka Cody'ego. Dziadek kupił wtedy więcej ziemi i zbudował obszerny, wygodniejszy dom. Ojciec Cody'ego, emeryt mieszkający w Arizonie, miał kiedyś sklep z towarami żelaznymi. Dobudował olbrzymich rozmiarów basen. Po przejściu na emeryturę przepisał dom i sklep na jedyne go syna. Teraz Cody zajmował się tym, a także swoim barem, pomnażając oszczędności rodzinne.

Kamienny mur otaczał podwórkę z trzech stron. Od północy drewniany płot oddzielał je od pastwiska. Juliet uważała, że efekt jest zdumiewający: wypieczzone tereny, odgródzone od drogi i innych zabudowań wysokim murem, ale otwierające się na dzikie pole na północy. Na całym pastwisku rosła wysoka trawa, dochodząc do lasu u podnóża gór.

Juliet, ukryta w cieniu dużej morwy, zawahała się. Przez chwilę podziwiała w milczeniu widok oświetlonego gwiazdami podwórza i wsłuchiwała się w słodkie dźwięki muzyki, próbując zlokalizować miejsce, skąd dochodziły. Tak, jak się spodziewała, muzyka dobiegała z szerokiego ganku, po drugiej stronie podjazdu. Teraz zauważyła Cody'ego. Siedział w cieniu, opierając się o filar przy schodkach. Był obrócony tyłem do garażu i patrzył w stronę głównej bramy. Nie miał na sobie koszuli i jego nagi tors błyszczał w świetle gwiazd. Był bosy, tak jak ona. Przy balustradzie rysował się ciemny kształt. Kemo. Uniósł głowę i spoglądał w stronę Juliet.

Cody wyglądał na zatopionego w muzyce. Gdyby zerknął w kierunku Juliet, z pewnością zobaczyłby ją. Kryła się co prawda w cieniu morwy, lecz zdradziłby ją jasnoniebieski szlafrok. Na szczęście nie odwracał się.

Kemo zaskomlał. Cody przerwał grę i cicho powiedział coś do psa. Uspokojony kundel położył łeb na łapach.

Juliet słuchała piosenki, ciesząc się chwilą. Miała wrażenie, że jej zmysły wyostrajają się. Istniała już tylko muzyka, lekki połysk skóry Cody'ego i chłodna, wilgotna trawa, pieszcząca jej stopy. Powietrze miało słodki, ziemisty zapach.

Cody przerwał, żeby zaczerpnąć oddechu. Gdzieś w oddali zaskrzeczała żaba. Ostry dźwięk zabrzmiał śmiesznie po uroczej piosence. Juliet uśmiechnęła się. Cody znów zagrał.

Juliet pomyślała, że jeśli uda się jej okrążyć basen i przejść przez podjazd od strony garażu, będzie mogła skorzystać z bocznych schodków. W ten sposób przez kilka minut nie przerwałaby gry Cody'ego. Ciche podejście wydało jej się najwłaściwsze. Pasowało do zaczarowanej scenerii, bezksiężycowej nocy i tęsknej piosenki.

Wysoka trawa łaskotała jej stopy, gdy przemykała się cicho w cieniu drzew pod murem. Zanim dotarła do drewnianego płotu, zaczęła to traktować jako rodzaj gry. Przebiegła przez odkryty teren i minęła żwirowy podjazd przed garażem. Wysokie kasztany osłaniały ją, gdy zbliżała się do ganku.

Cody zaczął inną piosenkę, jedną z jego własnych. Juliet słyszała ją kiedyś raz czy dwa. Była to piosenka miłosna o biednym chłopcu, zakochanym w bogatej dziewczynie; ich rodziny nie pozwalały im się spotykać. Oczywiście teraz Cody grał samą melodię, ale Juliet pamiętała słowa i poczuła smutek na myśl o ubogim kochanku, który nigdy nie zdobędzie wymarzonej dziewczyny.

Weszła po schodach i zaczęła zbliżać się do mężczyzny. Siedział tyłem do niej, grając piosenkę łamiącą serca kobietom.

Deski ganku nie zaskrzyphiały i nie zdradziły jej obecności. Nawet pies wydawał się być po jej stronie. Uniósł wprawdzie głowę i spojrzał w jej kierunku, ale nie zaszczekał.

Juliet podeszła na palcach do wiklinowego krzeselka, stojącego przy drzwiach. Zamarła, wpatrując się w nagie, muskularne plecy Cody'ego aż do chwili, gdy piosenka dobiegła końca.

Zapadła cisza. Gdzieś za domem zahuczała sowa. Rozległo się cykanie świerszczy i żałosny głos gołębia. Na polu odezwała się przepiórka.

Cody odezwał się:

- Julie.

Powiedział to miękko, inaczej niż wszyscy ludzie. Wolno odwrócił głowę i uśmiechnął się do niej. Juliet odwzajemniła uśmiech bez wahania i niesmiałości. Wydawało się, że wieczorny triumf dał jej większą pewność siebie, a bezpieczne ciemności ośmieliły.

- Widziałeś mnie - stwierdziła żartobliwie oskarżycielskim tonem.

Cody przytaknął.

- Widziałem, jak przechodziłaś przez furtkę.

- Muzyka była tak piękna i nie chciałam psuć nastroju. Podkraślałam się, bo miałam nadzieję, że nie przestaniesz grać.

Usiadła przy Codym, poprawiła szlafrok i objęła rękoma kolana.

- Lubię słuchać, jak grasz. Zawsze lubiłam, od czasu gdy się wprowadziłam.

- Nigdy przedtem tu nie przychodziłaś. Dlaczego? Spojrzała na podświetlone fale w basenie.

- Nie wiem. Chyba nigdy nie byłam kobietą biegnącą boso przez trawnik w środku nocy.

- Ale teraz już jesteś?

Zachichotała, myśląc o swym dobrym nastroju, własnej śmiałości i rosnącej pewności siebie. Tej nocy czuła się inna. Miała wrażenie, że jej dawna osobowość należy do obcej kobiety, której szczerze współczuła. Tamta kobieta bała się życia z jego widokami, zapachami i dźwiękami, ze zmysłowym pięknem, które wydawało się być stworzone właśnie dla Juliet.

- No więc?

- Co takiego? - spojrzała na mężczyznę.

- Zapytałem, czy teraz jesteś kobietą, która...

- Już pamiętam. I nie wiem. Dzisiejsza noc jest inna. Czuję się inaczej. Ale zobaczymy.

Znów się uśmiechnął w uroczy sposób. Prawy kącik ust uniósł się nieco bardziej niż lewy. Juliet pomyślała, że naprawdę rozumie, czemu kobiety szaleją za Codym.

Boże, jaki przystojny mężczyzna. Za przystojny dla kogoś takiego jak ona; wiedziała o tym.

Z wysiłkiem spróbowała zapomnieć o tym nadmiarze męskości: twardej, szerokiej piersi, muskularnym karku, lśniących oczach i uroczym półuśmiechu.

- Możesz mi wierzyć albo nie - powiedziała - ale przyszłam tu w określonym celu.

- W jakim?

- Chce cię prosić o wyświadczenie mi pewnej przysługi.

Patrzył na jej usta.

- Przysługi?

- Tak - potwierdziła, zdziwiona pewnością własnego głosu.

Opanowało ją dziwne, tęskne uczucie. Wiedziała, że powinna je stłumić, lecz miała ochotę ujawnić je.

- To znaczy?

Przypomniała sobie, o czym rozmawiają.

- Chodzi o festyn.

- O Letnie Szaleństwo?

- Tak.

- Co się stało?

- Widzisz, myślałam...

- Tak?

- A raczej miałam nadzieję...

- Miałaś nadzieję i myślałaś, że co?

W końcu zdobyła się na odwagę i wyznała:

- Byłoby mi miło, gdybyś na tegorocznym festynie zgodził się zaśpiewać piosenkę albo dwie.

Przez chwilę milczał. Kiedy z żalem wypowiedział jej imię, wiedziała już, że za chwilę wyjaśni jej, jak bardzo jest zajęty.

Gestem, który wydał się zupełnie naturalny, położyła mu palec na ustach.

- Szsz, nie odpowiadaj teraz. Po prostu przemyśl to, dobrze?

- Nie sądzę - odrzekł.

Jego usta miały stanowczy wyraz. Ciepły dotyk warg sprawiał jej przyjemność. Otrząsnęła się jednak. Wiedziała, że za chwilę usłyszy odmowę. Znów go uciszyła.

- Przecież mówiłam, żebyś nie odpowiadał teraz.  
Uśmiechnął się i odczuła to na palcu jak dotyk miękkiej poduszeczki.

- W porządku. Zastanowię się.

- To dobrze.

Uśmiechnęła się z satysfakcją i nagle przypomniała sobie, że niezależnie od tego, jak miło jest dotykać jego warg, nie może robić tego w nieskończoność. Cofnęła dłoń i spojrzała na basen. Cody nie ruszył się. Czuła, że na nią patrzy.

Zapadła dziwna, znacząca cisza.

Juliet obróciła się w stronę mężczyzny.

- Wydaje mi się, że powinnam wrócić do domu.

- Dlaczego? - rzucił, wpatrując się w jej usta.  
Potem spojrzał na jej szyję i dekolt.

- No, już załatwiłam to... po co przyszłam. Poprosiłam cię o udział w festynie.

- Tylko po to przyszłaś? Żeby o to prosić?

Przytaknęła. Zdawało się, że nie uwierzył.

- Jesteś pewna?

Kiedy dotykała jego ust, aby go uciszyć, przysunęła się bliżej. Potem nie cofnęła się, więc teraz była tuż przy nim.

Wrażenie było niesamowite. Męska uroda działała hipnotyzująco. Juliet wpatrywała się w niego, nawet nie próbując się odezwać.

Nagle z przerażeniem zrozumiała, że pragnie go pocałować. Miała wrażenie, iż jej usta drżą, tęskniąc do dotyku warg Cody'ego. Spojrzał na nią i już wiedziała, że on wie. Zdarzyło się niemożliwe. Cody pochylił się i oto spełniło się jej marzenie: całowali się.

To nie mogło się zdarzyć, ale stało się. Uczucie było cudowne. Cody jęknął cicho, obejmując ją twardymi, nagimi ramionami. Przyciągnął ją do siebie. Harmonijka upadła na ganek.



Jak wspaniale! Juliet nie miała ochoty się bronić.

Wolno, czule gładziła jego plecy. Cody drażnił i kasał jej usta, jakby chcąc je poznać. Potem jego język wśliznął się między jej wargi. Z początku Juliet wystraszyła się. Nigdy przedtem nie robiła czegoś podobnego. Potem rozluźniła się. Z Codym było jej dobrze. Rozchyliła wargi.

- Julie! - szepnął.

Uśmiechnęła się, gdy ich języki zetknęły się. Nieśmiało zaczęła oddawać pieszczoty. Pocałunek stawał się coraz mocniejszy.

I nagle Cody odsunął się. Wydała jęk zawodu. Przerwa była jednak chwilowa. Mężczyzna chciał tylko zmienić pozycję i znów wrócił do całowania. Juliet z radością podawała mu wargi.

- Och, Cody - westchnęła. - Och, Cody, jak cudownie... Nikt mi nie mówił...

Zaśmiał się gardłowo i to podnieciło ją jeszcze bardziej. Gładziła jego gładkie ramiona i plecy.

On też nie próżnował. Pieścił ją wolnymi, długimi ruchami: od biodra, poprzez talię i klatkę piersiową i z powrotem w dół. Pasek od szlafroka rozwiązał się i materiał rozchylił. Cody przesunął rękę z jej biodra na talię, uniósł głowę od pizamy i delikatnie gładził nagie ciało.

Juliet czuła się jak w niebie. Jak mogła przeżyć trzydzieści lat, nie znając tego uczucia? To było lepsze od wszystkiego, czego zaznała. Lepsze niż lody w upalny dzień, lepsze niż szklanka gorącego kakao w mroźny, zimowy wieczór, a nawet lepsze niż jazda czerwonym, sportowym samochodem i prowadzenie tegorocznego Letniego Szaleństwa!

To było letnie szaleństwo. Zdumiewające. Boskie.

Ciepła dłoń Cody'ego przesunęła się w górę od jej talii i delikatnie musnęła lewą pierś.

- O Boże! - westchnęła Julie.

Powtórzył pieszczotę i Juliet znów westchnęła. A potem odsunął się.

Juliet otworzyła oczy. Spojrzała na Cody'ego. W jego oczach malowała się zmysłowa obietnica.

- Powiedziałam: „O Boże” - stwierdziła z naciskiem.
- Nie kazałam ci przestać.

Nie żałowała swej śmiałości. Przez chwilę Cody wyglądał tak, jakby miał zamiar wrócić do przerwanej czynności. Chwila przeciągnęła się jednak i Juliet zauważyła, że mężczyzna wygląda inaczej. Teraz był surowy, a nie pobudzony.

Delikatnie posadził ją na krześle i podał pasek do szlafroka, który jakimś cudem znalazł się na jego szyi.

- Nie powinienem był tego robić.

Juliet postanowiła być wdzięczna za to, co dostała.

- Wiem - odpowiedziała. - Ale i tak ci dziękuję, Cody McIntyre.

Cody zmarszczył brwi.

- Nie dziękuj mi - rzucił raczej ostro.

- Ale...

Nie dał jej dokończyć.

- Daj spokój. - Po chwili dodał nieco łagodniej: - Posunąłem się za daleko. Przepraszam.

- Naprawdę? - Zastanowiła się. - Nie wiem. Czy to, co robiłeś, nie jest... naturalne? Nie prosiłam cię, żebyś przestał.

- Do diabła, Julie, jesteś dziewczyną.

Słyszając bezceremonialne słowa zaczerwieniła się i odwróciła od niego.

- A może nie jesteś? - nalegał.

Nie mogła na niego spojrzeć, więc zmusiła się tylko do pokiwania głową.

Przeklął pod nosem.

- To właśnie miałem na myśli. Do diabła, nie wiesz, co robisz; ja zresztą też nie. Nie wykorzystuję dziewczyc.

Juliet zapragnęła zapaść się pod ziemię. Uszy płonęły jej ze wstydu, gdy Cody mówił o jej braku doświadczenia. Chciała zerwać się z krzesła i pobiec do domu. Później jednak doszła do wniosku, że jednym z powodów, dla których w wieku trzydziestu lat ciągle była dziewicą, jest całkowity brak energii. Jeśli stale będzie się wycofywać, nigdy nie zdobędzie doświadczenia. Została na miejscu i odważyła się odezwać:

- A więc - zaczęła cokolwiek łamiącym się głosem. Wzięła głęboki oddech i ciągnęła nieco pewniej: - Jeśli nie wykorzystujesz dziewic, to dlaczego mnie pocałowałeś?

Spojrzał na nią i mruknął:

- Do diabła, Julie...

Patrzyła mu prosto w oczy.

- „Do diabła, Julie” nie jest odpowiedzią.

- Cholera...

- „Cholera” to też nie odpowiedź.

- Posłuchaj, nie chciałem, żeby to zaszło tak daleko; prawdę mówiąc nie chciałem, aby to prowadziło do czegokolwiek.

Juliet poczuła smutek, ale zadała kolejne pytanie:

- W takim razie czego chciałeś?

- Nie wiem - wyznał, przeczesując włosy palcami.

- Nie mogłem spać. Wyszedłem na ganek, żeby zagrać sobie kołysankę. Potem ty podkradłaś się do mnie. To było jak gra, więc włączyłem się. Chciałem cię pocałować, więc to zrobiłem. Niestety, zaszło to dalej niż powinno.

Zmieszana Julie nie rozumiała do końca, jak bardzo męczy się Cody. Dręczyło go pożądanie i niesmak, ponieważ bawił się jej niewinnością. Odsunął się bardziej, chcąc ukryć fakt, że nadal nie kontroluje swego pożądanego. Prawie skrył się za filarem, podtrzymującym daszek ganku.

Juliet zauważyła to i z zalem pomyślała o delikatnych

pieszczotach jego rąk. Wiedziała, że już nigdy nie zazna czegoś tak doskonałego. Zmusiła się do trzeźwego spojrzenia na sytuację, przypominając sobie, że Cody nie jest mężczyzną dla niej.

Ze smutkiem, lecz stanowczo stwierdziła:

- Masz rację. - Kiwnęła głową z powagą. - Posunęliśmy się za daleko.

Cody nie słuchał. Zastanawiał się, co może zrobić, żeby wstać z krzesła nie przynosząc sobie wstydu.

Juliet zawiązała szlafrok.

- Zapomnijmy o tym, dobrze? - Obciągnęła szlafrok tak, aby przykrywał jej kolana. - Taki wspaniały mężczyzna jak ty dla tak przeciętnej kobiety jak ja oznacza wyłącznie kłopoty.

Cody nagle uniósł głowę, chcąc jej powiedzieć, że to nie wygląd świadczy o człowieku i że ostatnio ona nie jest dla niego przeciętna. Niestety, Julie kontynuowała:

- Przez te wszystkie lata byłeś dla mnie dobry. Zawsze mnie broniłeś, kiedy Billy Butley dokuczał mi w szkole i byłeś moim pierwszym klientem, kiedy otworzyłam własne biuro. Zawsze będę cię lubić, i to bardzo. Ale nie chcę się angażować. Złamałbyś mi tylko serce.

- Zaczekaj chwilę...

- Nie, to ty zaczekaj. Kobiety ciągle cię podrywają. Pewnego dnia któraś mi cię zabierze.

Cody wpatrywał się w nią. Chciał jej powiedzieć, jak bardzo się pomyliła. Jego ojciec mógłby być dobrym przykładem. Gdy Wayne McIntyre spotkał matkę Cody'ego, nawet nie patrzył już na inne kobiety. Tak samo było z dziadkiem. Cody pochodził z rodu wiernych mężczyzn. Żadna kobieta nie mogłaby go nakłonić, aby zdradził swoją wybraną...

Potem zrozumiał, że Juliet mogłaby go źle zrozumieć. Ostatecznie pocałował ją pierwszy raz kilka

minut temu. Chociaż miał ochotę na coś więcej niż pocałunki, nie zamierzał wdawać się w trwałe związki; przynajmniej nie tak szybko. Wreszcie, tak jak usiłował jej wyjaśnić, tylko idiota próbowałby nawiązać romans z tak niewinną dziewczyną jak Julie, a on nie był idiotą.

Jednak czy to, co się stało, nic nie znaczyło? Nie miał takiego poczucia. Coś się z nim stało. Podziałała na niego jej niewinność i nowo ujawniona szczerość. Nie wiedział już, co się dzieje.

Tak bardzo różniła się od kobiet, które znał. One rozumiały, co robią, gdy kochały się z mężczyzną. Inna sprawa, że coraz więcej nocy spędzał samotnie. Doświadczone panie, które go pragnęły, nie pociągały go. Za to często zastanawiał się, co chciałby mieć w zamian.

Czy mogłaby to być Julie?

Miał wrażenie, że to pytanie odbija się echem w jego mózgu. Tej nocy nie umiał na nie odpowiedzieć i wydawało mu się to niebezpieczne. Próba odpowiedzi równałaby się szaleństwu.

Dlatego musiał coś zrobić, i to szybko. Gdyby został na swym miejscu i patrzył na Julie, mógłby zdecydować, że to właśnie takiej kobiety szukał przez trzydzieści lat swego życia.

Skończyłoby się to idiotycznie. Na kolanach błagałby ją o szansę, przysięgając, że do końca życia nawet nie spojrzy na inną kobietę.

Wstał.

- Cokolwiek sobie życzysz - powiedział do Juliet.

- Zgadzam się na wszystko.

Juliet przełknęła ślinę, patrząc na niego. Z chęcią podcięłaby mu nogi, tak aby upadł prosto w jej ramiona. Naprawdę był piękny.

Niestety, taki mężczyzna nie był dla niej.

- Cieszę się, że to rozumiesz - oświadczyła.

Schylił się, podniósł harmonijkę i odwrócił do drzwi.  
- Cody?  
- Słucham? - Zwrócił się profilem do niej.  
- Zapomnij o mojej prośbie w sprawie festynu, dobrze? I tak widzujemy się często. Nie musimy tego pogarszać.

- Dobrze, w porządku - odrzekł. - Kemo!

Pies uniósł głowę i zamachał ogonem.

- Chodź.

Kundel posłusznie wszedł za panem do domu.

Gdy drzwi się zamknęły, Juliet poczuła się opuszczona. Cody był taki szorstki i surowy. Nigdy nie zachowywał się w podobny sposób. Ale też nigdy przedtem nie całował jej i nie pieścił.

Juliet wstała i otuliła się mocniej szlafrokiem. Potem wolno ruszyła w stronę swego domku.

Leżąc w łóżku powiedziała sobie, że wszystko skończy się dobrze. Ona i Cody byli przyjaciółmi od tak dawna. Jeden głupi incydent nie mógł zmienić ich stosunków.

Postanowiła unikać go przez kilka dni, dopóki wszystko nie wróci do normalności. Za tydzień lub dwa będzie tak, jak zwykle. Była tego pewna.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

### POSZUKIWANI

Piosenkarze, aktorzy, tancerze, artyści różnych wyznań i autoramentu. Włączcie się, pomóżcie społeczeństwu. Weźcie udział w tegorocznym festynie „Letnie Szaleństwo”. Audytorium Miejskie, 401 Broad Street, poniedziałek, 15 lipca, w godzinach 19 - 22. W celu uzyskania informacji dzwońcie pod numer 555 3462.

Cody usiłował ignorować mijane ogłoszenie. Nalepiono je na oknie jego restauracji, tuż przy menu. Wisiało od czterech dni. W piątek zjawił się Płaskonosy Jake z rulonami pod pachą i poprosił o pozwolenie zawieszenia afisza w takim miejscu, gdzie rzucałby się w oczy. Cody pozwolił nalepić go na frontowym oknie. Nigdy nie sądził, że przez tych kilka dni będzie go dręczyło. Zawsze, gdy wchodził do lokalu, widział je kątem oka.

W poprzednich latach pojawiał się na festynie wyłącznie jako widz. Odmawiał prośbom o wzięcie czynnego udziału. Z jakiegoś powodu w tym roku myśl o potencjalnych występach nie dawała mu spokoju. Winił za to głupie ogłoszenie, które miały setki razy w ciągu dnia. Fakt, że imprezą kierowała Julie, która w końcu poprosiła go, aby się nie angażował, nie miał nic wspólnego z jego irytacją. Postanowił nie myśleć o tym.

Podjąwszy decyzję, wszedł do chłodnego, mrocznego lokalu. Po lewej stronie lśnił długi, mahoniowy bar. Cody zauważył w centrum sali stolik nakryty na

cztery osoby. Wypolerowany blat wyglądał zachęcająco, szkło błyszczało w przyćmionym świetle. Kierowniczka nocnej zmiany właśnie witała grupę sześciu ludzi i szykowała się do wskazania im miejsc.

Cody skierował się do baru. Usiadł pod ścianą, gdzie było kilka wolnych stołków i poprosił barmana o piwo z beczki. Jak zwykle, barman najpierw obsłużył wszystkich klientów. Gdy Cody dostał już swoje piwo, zapytał:

- Gdzie jest Archie?

Za kontuarem znajdowało się dwóch barmanów. W poniedziałkowy wieczór jednym z nich powinien być Archie Kent.

- Zamieniłem się z nim na dzisiejszą noc - wyjaśnił szybko zmiennik, Bob Mecker.

- Co się stało? Czyżby zachorował? - zainteresował się Cody.

- Nie, czuje się dobrze. Chciał iść na próbę. Ma nadzieję, że dostanie rolę.

- Po co mu to?

- Znasz Archie'ego - wielkiego gwiazdora.

- Wielki gwiazdor ma pracę - rzucił ostro Cody.

Bob Mecker wzruszył ramionami.

- Teraz pracuje na dzienną zmianę, pamiętasz? To znaczy, poza poniedziałkowymi nocami. Jakoś to ustawi, jeżeli dostanie rolę. Prawdę mówiąc, jest bardzo podniecony tą perspektywą, szczególnie od czasu, gdy złapała go twoja księgowa.

- Jaka księgowa?

- No wiesz, twoja księgowa. Panna Huddleston.

- Julie - mruknął Cody z rezygnacją. Później dodał podejrzliwie: - Co masz na myśli mówiąc, że go „złapała”?

- Wiesz, namawiała go, żeby przyszedł na próbę.

- Była tutaj?

- Tak.



Cody'emu ścisnęło się serce. Był rozczarowany i zraniony.

Prawie nie widział Julie od czwartkowej nocy, kiedy to wyszedł na ganek, aby odpocząć i pograć na harmonijkę, a skończył z dziewczyną w ramionach. Od tamtej pory unikała go, zauważył to. Naturalnie, chciała zachować pewien dystans po tym, co się stało. Prawdopodobnie nie powinien się tym martwić; niestety, nie miał na to wpływu.

- Kiedy tu była?

- W sobotę, w czasie przerwy obiadowej.

- To znaczy wtedy, kiedy mnie nie było - wymamrotał Cody raczej do siebie niż do Boba.

- Masz rację. Rozdała ulotki reklamowe i powiedziała, że odwiedza wszystkie przedsiębiorstwa. Mówiła o festynie i zapraszała ludzi do wzięcia udziału. - Bob zaśmiał się, rozbawiony. - Zaskoczyła nas, naprawdę. Podchodziła do każdego, witała się głośno i zaczynała swoją przemowę. Wcale nie przypominała tej przekradającej się myszki, przerażonej własnym cieniem, jaką zawsze była.

- Co to znaczy „przekradającej się”? - warknął Cody. - Julie nigdy się nie przekradała.

Bob Meeker chciał zachować posadę, więc się zgodził:

- Jak uważasz, Cody.

- Powiedz, co zaszło między nią i Archie'em - rozkazał Cody nieco ostrzej, niż zamierzał.

Bob spojrzał na niego z ukosa.

- Dobrze się czujesz, szefie?

- Doskonale. Opowiadaj.

- Nic nie zaszło. Widziała, że Archie jest zainteresowany, więc rozmawiała z nim trochę dłużej niż z resztą.

- O ile dłużej?

- Posłuchaj, Cody, to naprawdę nic wielkiego.

- Zgoda. Opowiadaj.  
- Nie wiem. - Bob polerował bar. - Może kilka minut. Julie powiedziała mu, że wszyscy byliby zadowoleni, gdyby zagrał jakąś rolę w jednej z ich sztuk, czy coś w tym rodzaju.

Cody przywołał w myślach obraz Archie'ego. Włosy koloru piasku, miły uśmiech, przystojna twarz. Archie podobał się kobietom. Był czarujący i miał chłopięcy wdzięk. Może zbyt czarujący; oczywiście nie jako barman, ale jako mężczyzna dla Julie.

Taki człowiek jak Archie Kent nie byłby odpowiedni dla Julie. Do cholery, ona jest niewinna! Musi uważać na czarujących mężczyzn, nie traktujących jej poważnie. Jeśli Cody mógł zapomnieć o własnym pożądanym i ochraniać ją przed sobą, tym bardziej nie mógł pozwolić, aby wykorzystał ją ktoś taki jak Archie Kent.

Bob przesunął się na środek baru. Zaczął powoli wyjmować szklanki ze zmywarki, płukać je i ustawiać na suszarce. Mimo to zżerała go ciekawość i gdy Cody ruszył do drzwi, nie mógł powstrzymać się i zapytał:

- Dokąd idziesz, szefie?

Odpowiedź nie padła. Cody już wyszedł.

- Puść mnie natychmiast, *senor!* Jestem mężatką. Mojemu mężowi nie spodoba się to, co robisz!

- Pocałuj mnie...

- Nie!

- Tak!

- Och! Ostrzegam cię, *senor!*

- Nie broń się, słodkie maleństwo...

- Nie, nie, nie pozwolę zbrukać mego honoru... Ostrzegam cię...

- Ha, ha, małe tygrysiatko... Ach! Mój Boże, zraniłaś mnie, ty ulicznico!

- W porządku, to było świetne. Możecie przerwać - oświadczyła Julie.

Para na scenie opuściła skoroszyty, z których czytała i spojrzała wyczekująco na kierowniczkę festiwalu, siedzącą w pierwszym rzędzie.

- Jeszcze minutkę - powiedziała Juliet i ruszyła w kierunku Meldy Cooks, autorki sztuki zatytułowanej „Tajemnicze i podejrzone wydarzenia wokół okrutnej i przedwczesnej śmierci przez powieszenie Marii Eleny Roderiki Perez Smith”.

- Co o tym sądzisz? - zapytała cicho Juliet.

- Oni są wspaniali. - Melda spojrzała znad uniesionych okularów. - Byłam oczarowana.

- A więc mamy już praczkę i mężczyznę, którego zabiła.

- Moim zdaniem mamy.

Juliet była zadowolona. Specjalnie namówiła Archie'ego, aby przyszedł na próbę. Yolanda Hughes była doskonała w roli Marii Eleny, która wolała zabić mężczyznę i pójść za to na szubienicę, niż utracić honor. Ponoć Maria Elena miała „lśniące, czarne oczy i bujne włosy takiegoż koloru”. Yolanda, właścicielka i kierowniczka salonu fryzjerskiego, miała zarówno odpowiedni wygląd, jak i talent aktorski.

Juliet podeszła do sceny, podziękowała parze aktorów i przypomniała im, aby zostawili swoje numery telefonów u Andrei Oakleaf, pełniącej tego wieczora rolę asystentki. Potem obróciła się do grupy ludzi w pierwszych rzędach.

- A teraz może wasza trójka - wskazała ręką dwóch mężczyzn i kobietę, siedzących razem - otworzy tekst na stronie dwudziestej drugiej, gdzie znajdziecie fragment ze sztuki...

Wytłumaczyła im, co mają przeczytać i czekała, aż wejdą na scenę, gdy nagle otworzyły się drzwi. Uniosła głowę.

To był Cody. Od czwartku Juliet nie tylko unikała go, ale też starała się nie myśleć o nim. Widząc go teraz, poczuła gwałtowne bicie serca i zaczerwieniła się.

Nie miała pojęcia, dlaczego widok mężczyzny, którego znała całe życie, podziałał na nią w taki sposób. Wydawało się, że z każdym dniem jest przystojniejszy, choć z całą pewnością nie było to możliwe. A może było? Stał w drzwiach, w ciemnych spodniach, kowbojskiej koszuli i butach nabijanych ćwiekami, które zwykle nosił na wieczornej zmianie w restauracji. Juliet zastanawiała się: czy jego pierś zawsze była tak muskularna i szeroka, a biodra tak szczupłe i twarde?

Yolanda Hughes, podnosząc torbę z sąsiedniego fotela, mruknęła z rozmarzeniem:

- Boże, co za facet...

Gdy zdała sobie sprawę z tego, że Juliet usłyszała ją, zaśmiała się gardłowo.

- Nie mogę się opanować. On jest prawdziwą uczcią dla oczu.

Juliet poczuła narastającą irytację. Wmawiała sobie, że jej motywy są czyste. Przez całe lata kobiety walczyły o to, aby nie traktowano ich jako obiekty; a tu Yolanda traktowała tak mężczyznę.

- On jest czymś więcej - odparowała bez namysłu. Dopiero po chwili zrozumiała, jak bardzo fałszywie i oskarżycielsko zabrzmiały jej słowa.

Yolanda zarzuciła torbę na ramię i ruszając w stronę drzwi mruknęła:

- Niektóre dziewczęta mają szczęście...

W tym samym czasie Andrea Oakleaf zauważyła szansę uatrakcyjnienia festynu i skorzystała z niej. Zerwała się z miejsca i podeszła do Cody'ego, wbijając w niego spojrzenie metalicznie szarych oczu.

- Cody McIntyre!

Skinęła mu głową tak energicznie, że jej kok podskoczył.

- To wzruszające. Nareszcie zdecydowałaś się ofiarować swój talent publiczności. Najwyższy czas!

Cody wkroczył do sali zdecydowanym krokiem, teraz jednak zawahał się i cofnął.

- Panno Oakleaf, proszę nie wyciągać pochopnych wniosków. Nie przyszedłem tu na próbę.

Juliet postanowiła mu pomóc.

- Tak, Andreo. Cody jest zbyt zajęty, żeby...

- Ciii... - Panna Oakleaf wiedziała niemal wszystko o mieszkańcach Emerald Gap, ponieważ większością opiekowała się już w przedszkolu. - On jest po prostu rozpieszczonym jedynakiem, który uważa, że poświęcenie kilku godzin każdej nocy w czasie festynu zabiłoby go.

- Och, panno Oakleaf. - Cody poczuł się lekko urażony. - Czy to sprawiedliwe?

Andrea zastanowiła się..

- No, dobrze. Może słowo „rozpieszczony” jest za mocne. Ale najwyższy czas, abyś na festynie zaśpiewał piosenkę czy dwie.

- To prawda, Cody; wiesz o tym - odezwał się Płaskonosy Jake.

- Tak, włącz się, Cody! - krzyknął ktoś z publiczności.

Zaraz też odezwały się inne zachęcające okrzyki:

- Zaśpiewaj nam piosenkę! Potrzebujemy cię!

- Dalej, Cody!

- Co z twoim poczuciem obowiązku?

Cody wyglądał jak schwytyany w pułapkę i tak też się czuł. Juliet patrzyła na niego, zastanawiając się, co skłoniło go do przyjścia. Zwykle unikał miejsc, gdzie przeprowadzano próby. Teraz kręcił głową i wydawał przeproszające pomruki. Nagle z garderoby wyszedł Archie Kent i zawołał:

- Tak, szefie! Pomóż nam trochę, dobrze?  
Zakłopotanie Cody'ego minęło bez śladu. Rzucił Archie'emu twarde spojrzenie.

- Właśnie ciebie szukam.

Archie przestał się uśmiechać.

- Hej, o co chodzi? Czyżby Bob nie przyszedł? Obiecał, że mnie zastąpi...

- Bob przyszedł - odpowiedział sztywno Cody.

Archie był zdumiony.

- W takim razie w czym problem?

- W tym, że... - Cody umilkł. Wyglądał tak, jakby sam nie wiedział, o co mu chodzi.

- Tak? - ponaglił go Archie.

- W tym, że... nie masz na to czasu; o właśnie. Wiesz, że podczas festynu mamy zawsze dużo roboty.

- Ależ, Cody, ja pracuję na dziennej zmianie.

- Biedny Archie nic nie rozumiał i był kompletnie zbity z tropu.

W czasie festynu Cody zwykle pozwalał swym pracownikom na swobodę. Wszyscy kupcy w mieście robili to samo, gdyż impreza przyciągała gromady turystów. Emerald Gap żyło głównie z turystyki. Wielu biznesmenów liczyło na to, że w ciągu Letniego Szaleństwa zarobią do dwudziestu procent rocznego dochodu. Fakt, że Cody chciał zabronić jednemu ze swoich pracowników uczestnictwa w festynie, wydawał się bez sensu. Gdy Juliet odezwała się, w jej głosie brzmiała konsternacja:

- Cody, co cię napadło? - Poklepała Archie'ego po ramieniu, chcąc dodać mu odwagi. - To ja namówiłam twojego pracownika do przyścia na próbę. Byłam pewna, że nie będziesz miał nic przeciwko temu. Nigdy przedtem nie miałeś.

Cody nie patrzył na nią. Zdawało się, że jego wzrok przykuła ręka Julie na ramieniu Archie'ego.

- Tym razem jest inaczej - warknął.

- Dlaczego? - Jeszcze raz poklepała mężczyznę po ramieniu i opuściła rękę.

W końcu Cody spojrzął jej w oczy.

- Jest inaczej - powtórzył, patrząc spode łba.  
- Juliet, chcę porozmawiać z tobą sam na sam.  
Wyjaśnię ci to.

Nazwał ją Juliet. W czasie ich długoletniej przyjaźni nigdy nie używał jej pełnego imienia ani nie zwracał się do niej w tak sztywny, oficjalny sposób.

Serce Juliet ścisnęło się. W czwartek w nocy był szorstki i gburowaty, ale rozumiała go, biorąc pod uwagę to, co zaszło. Miała pewność, że w ciągu kilku dni wszystko wróci do normy. Teraz, patrząc na niego, czuła, iż coś jest nie tak. Co mogło go zdenerwować?

Jego lekceważące spojrzenie raniło bardziej niż cokolwiek, szczególnie na oczach tych wszystkich ludzi. Publiczność nagle umilkła. Juliet zrozumiała, że uwaga wszystkich skierowana jest na Cody'ego i na nią. Ludzie obserwowali ich, zastanawiając się, co nastąpi.

Powróciła jej dawna nieśmiałość. Czuła się okropnie. Każdy wpatrywał się w nią i myślał o tym, co dzieje się pomiędzy nieatrakcyjną Juliet Huddleston i wspaniałym Codym McIntyre, marzeniem wszystkich kobiet.

Juliet chciała przemóc się i powiedzieć Cody'emu, że chętnie porozmawia z nim sam na sam. Niestety, paraliżowała ją nieśmiałość. Udało jej się rzucić rozpaczliwe spojrzenie Jake'owi, stojącemu w pobliżu. Od czwartkowej nocy rozmawiała z nim wiele razy: o ulotkach reklamowych, ogłoszeniu w gazecie i sposobie prowadzenia prób. Teraz Płaskonosy Jake nie był dla niej starym ekscentrykiem, żyjącym w drewnianym domku gdzieś w lesie; stał się przyjacielem. Wpatrywała się w niego prosząco.

Jake zrozumiał jej nieme wołanie o pomoc. Uśmiechnął się i przerwał niezręczną ciszę:

- Dobry pomysł, Cody. Skończycie kłótnię na osobności. Teraz musimy kontynuować przesłuchania.

- Tak, wszyscy na nas czekają - zgodziła się Andrea. Po chwili dodała z chytrym uśmiechem: - A ty, młody człowieku, po prostu zgódź się zaśpiewać nam dwie piosenki i możesz iść.

Cody z trudem oderwał wzrok od Juliet i spróbował przeciwstawić się swej byłej opiekunce:

- Zaraz, chwileczkę...

- Nie, to ty posłuchaj chwileczkę - zareplikowała panna Oakleaf. - Udało ci się wykręcić od prowadzenia festiwalu w tym roku i twoje obowiązki przejęła Juliet. Możesz spłacić dług wdzięczności tylko w jeden sposób: biorąc udział w występach. Młody człowieku, musisz się zobowiązać.

- Ale...

- Zobowiązanie.

Cody przecesał włosy palcami.

- Do diabła.

- Dwie piosenki.

Znów zapadła dręcząca cisza. Wreszcie Cody poddał się.

- W porządku, zrobię to.

Jego słowa przyjęto oklaskami.

- Świetnie, szefie! - ryknął Archie.

Cody rzucił mu takie spojrzenie, że mężczyzna błyskawicznie zniknął, machając wszystkim ręką na pożegnanie. Później Cody zwrócił się do Juliet:

- Czy twój samochód jest już sprawny?

Jakimś cudem udało się jej wykrztusić:

- Hm, nie. Powiedzieli mi, że będzie gotowy na jutro.

Ciągle jeszcze używała zapasowej półciężarówki Cody'ego.

- W porządku. Możesz mnie zabrać do domu



i wtedy porozmawiamy. Kiedy skończysz, przyjdź do restauracji. Zaczekam tam.

- Dobrze - wyjąkała.

Uklonił się jej sztywno i odszedł w stronę drzwi. Juliet obserwowała go, myśląc o tym, że sprawy z Codym nie układają się tak, jak powinny.

Unikanie go przez kilka dni niewiele pomogło. Wystarczyło, że wszedł do sali i spojrzął, a wszystko w niej topniało jak lawa. Teraz był zdenerwowany bardziej niż wówczas, gdy zostawił ją na ganku. Zachowywał się dziwnie, domagając się, aby biedny Archie zrezygnował z udziału w sztuce.

- Juliet? - zagadnęła ją Andrea. - Może kontynuujmy?

Juliet postanowiła zapomnieć o kłopotach z Codym do czasu, gdy będzie w stanie coś na nie poradzić. Teraz najważniejsza była praca, z którą radziła sobie doskonale, dopóki Cody nie wmaszerował przez wielkie, dwuskrzydłowe drzwi.

Uśmiechnęła się i skinęła głową Andrei, czując, jak wraca jej pewność siebie.

- Uwaga, wszyscy - zawołała mocnym głosem, pod którym krył się niepokój. - Wracamy do pracy.

Piętnaście po dziesiątej Juliet znalazła Cody'ego czekającego w biurze.

- Zostawię półciężarówkę tutaj. Rano ty mnie przywieziesz.

Powiedział to szorstko, jak rozkaz. Juliet odniosła wrażenie, że jest jego szoferem, a nie długoletnią przyjaciółką. Cody wstał z krzesła i nie patrząc na nią, zaczął porządkować jakieś papiery na biurku.

Przez chwilę Juliet czuła się żałośnie. Opuściła ramiona. Cody od zawsze był jej przyjacielem i mistrzem, a teraz traktował ją z zimną pogardą. To bolało, bardzo bolało.

Jednak szybko uświadomiła sobie, że nie zrobiła

nic, co mogłoby usprawiedliwiać takie zachowanie mężczyzny. W sali prób jego groźna postawa zaszkodziła ją. Zareagowała tak jak zawsze: zdrętwiała i nie mogła wykrztusić słowa. Ale przecież nie musiała tak się zachowywać. I wcale nie miała takiego zamiaru.

Uniosła podbródek i odezwała się zuchwale:

- Ależ oczywiście, Cody, z rozkoszą podrzucę cię jutro do miasta. To żaden kłopot. Poza tym, chociaż nie zapytałeś o to, mieliśmy bardzo udane przesłuchanie. Zdobyliśmy siedem grup muzycznych, dwóch poetów i obsadę do wszystkich skeczy, że już nie wspomnę o tresowanych pudłach Lalo Severina i śpiewającym kocie Raleigha McDuffa. Czy to nie cudowne?

Cody warknął coś pod nosem. Juliet postanowiła uznać to za gratulację.

- Och, dziękuję. Wszyscy są bardzo zadowoleni. Oczywiście, szczególnie wzruszył ich fakt, że ty też weźmiesz udział.

Spojrzał na nią, marszcząc brwi.

- Wszyscy, poza tobą, tak?

Wyglądał na zranionego. Ostatnio Juliet nie była w stanie go zrozumieć.

- Och, Cody...

Upierał się:

- Tak?

Porzuciła zuchwały ton i odpowiedziała szczerze:

- Naprawdę myślałam, że byłoby dobrze, gdybyśmy nie spotykali się tak często. Ale wyszło inaczej. Uważam, że musimy po prostu rozegrać to jak najlepiej.

- Jasne, zrobimy tak. - W jego głosie brzmiał nie skrywany sarkazm.

- Cody... - Patrzyła na niego ze zdumieniem.

- O co ci chodzi?

- Porozmawiamy o tym - rzucił, obchodząc biurko i kierując się w jej stronę. - W drodze do domu.

Wsiadli do starej półciężarówki. Juliet prowadziła. Gdy tylko wyjechali z parkingu, Cody nagle spytał oskarżycielskim tonem:

- Skąd masz tę sukienkę?

Zerknęła na niego, ale w ciemnej kabinie nie mogła nic wyczytać z jego twarzy.

- Z domu towarowego, bo niby skąd?

Powiedziała to lekko, choć głos jej drżał. Cody zaczynał ją irytować. Rzadko przeżywała takie emocje, ale zapewne były one nieuniknione, biorąc pod uwagę zmiany, jakie w niej zaszły.

- Dlaczego pytasz? Czy coś z nią jest nie tak?

- Jest czerwona - odpowiedział takim tonem, jakby noszenie czerwonego było jednym z najcięższych przestępstw.

Spojrzała na niego ponownie, zastanawiając się, czy przypadkiem nie wydarzyło się coś niezwykłego, co mogło mieć wpływ na jego postawę. Może zapadł na śmiertelną chorobę albo przegrał wszystko w kasynie w Tahoe i wkrótce znajdzie się na bruku? Jednak żadna z tych tragedii nie wydawała się jej prawdopodobna. Cody był okazem zdrowia, a gdyby w grę wchodziły problemy z pieniędzmi, to ona, jako jego księgowa, wiedziałaby o tym pierwsza.

A może naprawdę z sukienką było coś nie tak? Juliet prześliznęła się po niej wzrokiem, lecz nie zauważyła nic dziwnego. Była bez rękawów, miała półokrągły dekolt, dopasowaną, obniżoną talię i kłoszową spódnicę. Nie wyglądała wyzywająco, choć może eksponowała figurę bardziej niż ubrania, które nosiła do tej pory.

- Lubię czerwony kolor - stwierdziła całkiem rozsądnie.

- Nigdy go nie nosiłaś - mruknął. - Ani wysokich obcasów. - Spojrzał z naganą na jej stopy.

Tego było już za wiele. Właśnie wjechali na

dwupasmową szosę, wiodącą na farmę. Juliet wypatrzyła nieco szersze miejsce i zatrzymała się.

- O co, u diabła, chodzi? - zaprotestował Cody.

Juliet milczała, parkując w cieniu wysokiej jodły. Potem wyłączyła silnik i światła.

- Cody - zaczęła, decydując się na ujawnienie swych zranionych uczuć. - Zachowujesz się jak ktoś obcy. Wyjaśniałam ci już, że próbuję zmienić swoje życie. Dlaczego zachowujesz się tak, jakbym popełniała jakieś przestępstwo? Nie rozumiem tego.

Obok przejechała ciężarówka wyładowana drewnem. Samochód Juliet zakołysał się lekko.

- To cholernie niebezpieczne - zauważył Cody.

- A więc odpowiedz na moje pytanie i zaraz pojedziemy dalej.

- Jakie pytanie?

- Dlaczego jesteś na mnie zły?

- Nie jestem zły. Czy powiedziałem, że jestem zły?

- Nie musiałeś. Wystarczy, że nie odezwałeś się grzecznie od chwili, gdy wszedłeś do sali prób tupiąc i domagając się, aby biedny Archie zrezygnował z udziału w rewii.

- Biedny Archie - powtórzył, przedrzeźniając ją.

- Archie wcale nie jest biedny. Płacę mu zgodnie ze stawkami związkowymi, a poza tym dostaje cholernie wysokie napiwki.

- Nie mówiłam o jego portfelu i ty dobrze o tym wiesz. Po prostu szkoda mi go. Było mi przykro, kiedy tak na niego naskoczyłeś.

- Nie naskoczyłem na niego.

- Ależ tak.

- A poza tym nie warto go żałować, wierz mi. Wszystkie kobiety go kochają. Jak myślisz, dlaczego chce pracować na dzienną zmianę? Dlatego, że zawsze wieczorem ma randkę.

- A co w tym złego? Może lubi się zabawić?

- Zawsze. Trzymaj się od niego z daleka.
- Co takiego?
- To nie jest chłopak dla ciebie. Nie zaczynaj z nim.
- Ale, Cody...
- Żadnych „ale”. Mówię to zupełnie poważnie.
- Cody...
- Nie nadaje się dla ciebie.

Juliet popatrzyła na mężczyznę.

- Wiem o tym - powiedziała.

Przez chwilę milczał. Potem zapytał:

- Ach, więc... wiesz?

Skinęła głową i wyjaśniła:

- To, o co mi chodzi na dłuższą metę, to pełne życie: z satysfakcjonującą pracą, dobrymi przyjaciółmi i rozrywkami. Chcę poślubić kiedyś miłego mężczyznę, wiernego, z poczuciem humoru i umiejętnością radzenia sobie w życiu. Założymy rodzinę i będziemy mieli dwie córeczki i synka.

- Naprawdę?

Przytaknęła. Od czwartku myślała o tym poważnie, szczególnie w nocy, gdy próbowała zapomnieć o Codym.

- Bardzo lubię Archie'ego, ale to nie jest mężczyzna dla mnie.

- Nie jest?

- Nie.

- Dlaczego?

- No więc...

- Jest wierny?

- A nie jest? Nigdy o tym nie myślałam.

- Ale mówiłaś, że mężczyzna dla ciebie powinien być...

- Wierny. Tak, powiedziałam to.

- A więc...?

- Nie zastanawiałam się nad tym.

- Dlaczego?

- Po prostu... nie obchodzi mnie to, kiedy patrzę na Archie'ego. Nie czuję tego...

- Tego?

- Tak.

- A co to jest?

Coś, co czuję, kiedy patrzę na ciebie, pomyślała, czerwieniąc się. Wykonała ręką gwałtowny gest i uderzyła się o kierownicę.

- Au! - powiedziała, zamiast odpowiedzieć na pytanie.

- Julie, mówisz bez sensu - stwierdził Cody.

Przytuliła do siebie stłuczoną rękę i zauważyła:

- Przynajmniej znowu nazywasz mnie Julie.

Milczał i po chwili uśmiechnął się. W ciemności zaśniły jego białe zęby.

- W porządku, byłem idiota.

- Byłeś.

- Całe życie starałem się nim nie być.

- Aż do dzisiaj udawało ci się.

- Myślałem, że interesuje cię Archie Kent. Byłem...

- odwrócił głowę i z nagłym zainteresowaniem wpatrzył się w jodłę.

- Jaki byłeś? - zapytała Juliet z nadzieją, którą starała się ukryć.

Spojrzał na nią i pochylił się. Widziała jego twarz z bliska. Czuła jego szczupłe ciało i emanujące z niego ciepło. Zapragnęła, żeby przysunął się jeszcze bliżej.

- Martwiłem się - powiedział dziwnie ochrypłym głosem. - Martwiłem się o ciebie.

- Dlaczego? - Jej własny głos był przytłumiony.

- Nie chciałem twojej krzywdy.

- Moja krzywda to mój problem.

- Wiem, ale... - urwał.

Nie obchodziło jej to. Zaczęła przypominać sobie czwartkową noc, wspaniałe uczucie... Dotyk jego ust, słodki płomień, ogarniający całe ciało w miarę

przedłużania się pocałunku. Dłoń Cody'ego, muskająca piersi i wywołująca dziwną tęsknotę.

Zapagnęła pochylić się i podać mu usta, lecz nie zrobiła tego. Cody nie był mężczyzną dla niej, tak samo jak Archie Kent. Związek z Codym nie trwałby długo. Jakaś inna, atrakcyjniejsza kobieta w końcu odebrałaby go, a Juliet zostałaby sama, ze złamanym sercem. Wiedziała, że lepiej poczekać na właściwego mężczyznę. Kogoś mniej atrakcyjnego i gorszego niż Cody, ale na kim mogłaby polegać. Musiała szukać równowagi: stały i wierny, pierwszy i na całe życie. I żeby czuła przy nim choć odrobinę tego, dla czego warto byłoby czegoś żyć.

Nagle posmutniała. Ona miała zadowalać się namiastką, podczas gdy z Codym na pewno doświadczyłaby uczucia intensywnego i ogromnego...

Cody cicho wypowiedział jej imię. Juliet zauważyła, że mimowolnie pochyliła się ku niemu tak samo, jak on ku niej. Ogarnęło ją cudowne, zmysłowe uczucie. Miała wrażenie, że topnieje. Jak miło byłoby przytulić się do Cody'ego.

Byłoby to jednak szukaniem kłopotów. Juliet zadrżała, otrząsnęła się i odsunęła w stronę drzwi.

Na twarzy Cody'ego pojawił się grymas, jakby żalu czy urazy. Może to dlatego, że odsunęła się od niego? Juliet uznała to za myślenie życzeniowe. Zresztą w ciemnościach i tak nie widziała zbyt dobrze.

Przez chwilę oboje milczeli. Obok przejechała kolejna ciężarówka, powodując kołysanie samochodu.

Juliet przypomniała sobie, o czym rozmawiali przedtem.

- No dobrze, jeśli uważasz, że Archie nie jest dla mnie odpowiednim mężczyzną, to w porządku. Ja też tak sądzę. Najprawdopodobniej Archie myśli tak samo. Między nami naprawdę nic nie ma.

Cody zaśmiał się cicho.

- W porządku, przekonałaś mnie.
- A więc może wziąć udział?
- Dlaczego nie?
- Świetnie. A teraz cofnij, te głupie uwagi na temat mojej sukienki i będziemy mogli pojechać do domu.
- Nie wiem - odpowiedział i Juliet z ulgą odnotowała nutę humoru w jego głosie. - Ta sukienka jest... zupełnie czerwona. Co powiedziała by twoja matka, gdyby cię w niej zobaczyła?

Juliet pomyślała o matce. Uspokoiło ją to i uciszyło pragnienie flirtowania. Wiedziała, że powinna ruszyć do domu, a raczej do dwóch oddzielnych domów.

- To prawda, że matka wychowała mnie po staroświecku i nauczyła rezerwy - przyznała. - Ale ostatnio zmieniła się...

Cody spotkał jej matkę najwyżej raz czy dwa razy w ciągu ostatnich lat, więc nie skomentował tego. Przez chwilę patrzyli na siebie i żadne z nich nie myślało o matce Juliet.

Wreszcie Cody odezwał się z wahaniem:

- Julie... nie podobało mi się to. Mówię o tym, jak mnie unikałaś. Myślałem...

- Tak? - W jej głosie znów zabrzmiała nadzieja.

- Zaszokowałaś wszystkich, przemawiając w zeszłym tygodniu przed związkami i to było jakieś smutne. Uważamy się za przyjaciół, mieszkamy kilkaset metrów od siebie, ale tak naprawdę nie znamy się.

Juliet zastanowiła się nad tym.

- Rozumiem, co masz na myśli. Zawsze byłam taka nieśmiała, a ty opiekowałeś się mną i troszczyłeś o mnie bardziej niż o kogokolwiek.

- To prawda - zgodził się i przerwał, usiłując uporządkować myśli. - Ale nigdy przedtem nie unikałaś mnie. Do diabła, próbuję powiedzieć, że nawet jeśli nie byliśmy tak naprawdę bliscy sobie, to jednak uważałem nas za przyjaciół, długoletnich przyjaciół.



Od czwartku czuję się jak... - Wziął głęboki oddech.  
- Jakbym stracił przyjaciela.

- Och, Cody, tak mi przykro.

- Posłuchaj - ciągnął. - Jeśli sądzisz, że nie jestem odpowiednim facetem dla ciebie, to w porządku. Z tym sobie poradzę. Ale cholera, Julie, brakuje mi ciebie. Czy nie możesz znów być moją przyjaciółką?

- Och, Cody... - Nie wiedziała, co powiedzieć. Czuła w gardle kulę, którą musiała przełknąć, żeby móc wyjaśnić. - Pomyślałam, że przez jakiś czas tak będzie lepiej - wykrztusiła w końcu. - Żebyśmy trzymali się z daleka od siebie.

Milczał, wyglądając przez okno.

- Tak myślałam.

Zrozumiała, że nie może dłużej odrzucać przyjaciela, jakim był zawsze Cody. Przerazające zauroczenie w końcu minie; wiedziała o tym. Wówczas przyjaźń znów stanie się przyjemna.

- W porządku - uśmiechnęła się. - Unikanie cię i tak nie przyniosło nic dobrego. Już z tym skończyłam; na razie.

Spojrzał na nią.

- Dzięki, Julie - powiedział.

Jej serce podskoczyło. Wzięła głęboki oddech. Wszystko będzie dobrze, wmawiała sobie. To szalone zauroczenie jest przelotne. Nic dziwnego; ostatecznie zaszło przecież tyle zmian. Postanowiła być kobietą pewną siebie, w jej życiu zmieniło się też parę innych rzeczy. Budziła się jako kobieta. Pomógł jej w tym Cody i jego wspaniałe pocałunki tamtej nocy.

Jednak to było prawdziwe życie, a nie historia o „Śpiącej królewnie”. Cody być może wyglądał na przystojnego księcia, ale na tym kończyło się podobieństwo do bajki. W obecnych czasach pocałunek rzadko oznaczał zobowiązanie do końca życia. To, że jego

pieszczoty podniecały ją, nie oznaczało miłości ani czegoś podobnego.

Nie; to była reakcja fizyczna i nic poza tym. Do końca życia będzie wdzięczna Cody'emu za pokazanie jej, na czym polega tajemnicza gra pomiędzy mężczyzną i kobietą.

Cody pochylił się i lekko uściśnął jej dłoń.

- Cieszę się, że porozmawialiśmy - stwierdził.

- Ja też. - Jej głos załamał się lekko, ponieważ dotyk, choć przelotny, zapoczątkował reakcję łańcuchową. Zdawało się, że impuls elektryczny przebiegł od jej dłoni do samego środka i zapalił tam iskrę, która rozgrzewała wszystko i powodowała powolne topnienie.

Juliet włączyła silnik i skoncentrowała się na drodze do domu. Już wkrótce, wmawiała sobie uspokajająco, to uczucie przestanie pojawiać się za każdym razem, gdy Cody zbliży się do niej. Niedługo wszystko będzie tak jak przedtem.

Nie miała pojęcia o tym, że Cody, uśmiechając się z zadowoleniem, widzi sprawy w odmiennym świetle. Rezygnacja z wzajemnego unikania się naprawdę go ucieszyła. Poza tym martwił go fakt, że choć od dawna byli przyjaciółmi, zawsze zachowywali pewien dystans.

Uznał, iż nadszedł odpowiedni czas, aby stali się lepszymi przyjaciółmi niż kiedykolwiek przedtem.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Juliet obróciła się właśnie na bok i wyłączyła budzik, gdy rozległo się pukanie do kuchennych drzwi.

Uch, mruknęła i próbowała zapomnieć o świetle, nakrywając głowę poduszką. Niestety, pukanie rozległo się znówu.

Usiadła.

- Już dobrze! Chwileczkę!

Otworzyła drzwi, zawiązując szlafrok na wymiętej piżamie.

- Dzień dobry - rzucił Cody z uśmiechem.

Miał na sobie dzinsy, kraciastą koszulę i chyba najstarsze buty z niewyprawnej skóry. Juliet uznała, że wygląda znacznie lepiej niż poprzedniego dnia, kiedy to wpadł do sali i domagał się, aby Archie Kent zrezygnował z udziału w rewii. Tak, pomyślała sennie, tłumiąc ziewnięcie. To prawda. Z każdym dniem wyglądał coraz lepiej.

Wpatrywała się w niego, zastanawiając się mgliscie, czy wygląda na tak zaspaną, jak się czuje. Wmawiała sobie, że nawet jeśli, to nie powinno jej to martwić.

Cody machnął ręką w kierunku stodoły i stajni za płotem.

- Właśnie zakończyłem poranne obowiązki.

Juliet przytaknęła:

- Och, tak. Obowiązki.

- Otóż to. I pomyślałem...

- Hmm?

- No więc pomyślałem, że po prostu wpadnę i zaproszę cię do siebie na śniadanie.

- Śniadanie.

- Tak. No wiesz: jajka, bekon, tosty, kawa.

- Chcesz, żebym przyszła do ciebie na śniadanie. Zaczaj przeczesać włosy palcami.

- No, tak. - Spojrzał na psa, który cicho zaskomlał, jakby dodając mu odwagi, a potem znów zerknął na Juliet. - Co o tym sądzisz?

Nie od razu odpowiedziała. Rezygnacja z unikania go była jedną sprawą, wspólne śniadanie zupełnie inną.

- Słuchaj, Cody... - zaczęła, nie wiedząc, jak odmówić, aby go nie zranić.

Posmutniał.

- Nie? - spytał głucho. - Nie przyjdiesz?

- Cody, ja...

Uniósł dłoń.

- Nieważne. To był tylko projekt.

Odwrócił się i Juliet pomyślała o sobie, że jest bez serca. Pod względem uczuciowym był dla niej niebezpieczny, ale nie usprawiedliwiało to odrzucenia go w taki sposób.

- Zaczekaj.

Odwrócił się w jej stronę.

- Tak?

- Daj mi dwadzieścia minut na ogarnięcie się.

Jego twarz pojaśniała.

- Wspaniale.

Uderzeniem dłoni w kolano przyzwał do siebie psa i wyszedł bez słowa.

Juliet patrzyła za nim z osłupieniem. Właśnie zaprosił ją na śniadanie, a ona zgodziła się. Później dotarło do niej, że w ciągu dwudziestu minut musi zdążyć wziąć prysznic, ubrać się i... Zatrzasnęła drzwi i runęła do łazienki, zrzucając po drodze szlafrok i piżamę.

Gdy Juliet zapukała do drzwi, Cody, przebrany w czyste dżinsy i koszulę, miał już wszystko prawie

gotowe. Zaprowadził ją do kuchni i wskazał krzesło we wnęce, której okno wychodziło na pole. Pasły się tam dwa konie. Nalał jej kawy, zapytał, jak ma przygotować jajka, podał śniadanie i zasiadł na przeciwko.

Juliet wypijała trochę kawy, zjadła pół jajka i wreszcie zadała pytanie, które dręczyło ją przez cały czas, kiedy brała prysznic i ubierała się:

- Cody, o co chodzi?

Przerwał przeżuwanie bekonu.

- Z czym? - Wyglądał zupełnie niewinnie.

- Z tym. Nagle zapraszasz mnie na śniadanie.

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Wydało mi się, że to miły pomysł, więc zaprosiłem cię.

- Ależ nigdy nie robimy razem takich rzeczy.

- Jakich? - zainteresował się i ciągnął, nie czekając na jej odpowiedź: - Od czasu do czasu jemy razem obiad.

- Służbowo.

- Jedzenie to jedzenie - skwitował.

- Nieprawda. - Zjadła kawałek bekonu i rzuciła oskarżycielskim tonem: - I ty dobrze o tym wiesz. Służbowy obiad to zupełnie coś innego niż gotowanie dla kogoś we własnej kuchni.

- To znaczy, że docenisz moje wysiłki? - zapytał, nie chwytając aluzji.

- Oczywiście, że tak...

Chciała wyjaśnić, że wspólne śniadania nie należą do tych rzeczy, które powinni robić razem, ale nie udało się jej. Cody uśmiechnął się szeroko, prawdopodobnie ciesząc się jej oceną i serce Juliet zaczęło bić jak szalone.

- Hej - powiedział. - Podoba mi się ten kostium.

Juliet nie wyjaśniła jeszcze, że jej zdaniem nie powinni spędzać razem zbyt wiele czasu. Spojrzała na swe ubranie, zastanawiając się, co takiego może

podobać się Cody'emu. Kupiła je wiele miesięcy temu, jeszcze przed złożeniem swego urodzinowego przyrzeczenia. Kostium nie wyróżniał się krojem i miał kolor „pszenicy”. W ustach sprzedawcy w domu towarowym brzmiało to miło: „To kolor dla ciebie, kochanie. Uroczy, subtelny, pszeniczny...” Kiedy jednak Juliet przyniosła kostium do domu, uświadomiła sobie, że „pszeniczny” to po prostu jeszcze jedno określenie brązu. Zwykły, spłowiwały brąz.

Uniosła głowę i ponownie spojrzała na Cod/ego.

- Nienawidzę tego kostiumu - powiedziała, może zbyt gwałtownie. - Ale jestem jeszcze dość praktyczna i nie mam zamiaru pozbywać się go. Nie mam pojęcia, co w nim widzisz.

Rozważał to przez chwilę, a potem rzucił w zamyśleniu:

- Nie wiem. Może po prostu... upewnia mnie o tym, że jesteś jeszcze choć trochę tą Julie, jaką znałem.

Pochylił się ku niej tak szybko, że nie zdążyła zrobić uniku i chwycił jej dłoń, leżącą na stole. Wszystkie myśli uleciały z głowy Juliet. Cody powoli przyciągał ją bliżej.

- Jesteś tą samą Julie? - zapytał cicho, prawie bez tchu.

- Ja... uhm, oczywiście, w pewnym stopniu, tak...

Uśmiechnął się. Sposób, w jaki to powiedziała, dowiódł, że mówiła prawdę.

- To dobrze - stwierdził i puścił ją.

Ręka paliła ją; przegub, który przed chwilą trzymał Cody, mrowił w cudowny sposób. Wpatrywała się w mężczyznę, niezdolna do wypowiedzenia słowa.

Unióś kubek z kawą, czyniąc zachęcający gest.

- Jedz, zanim wszystko wystygnie. - Powiedziawszy to, z zapałem rzucił się na jedzenie.

Juliet odczekała jeszcze chwilę. Mrowienie rozeszło się od dłoni po całym ciele. Dopiero gdy zanikło,

uświadomiła sobie, że jest głodna i z entuzjazmem powróciła do śniadania.

Kończąc drugi tost spojrzała na Cody'ego i zauważyła, że obserwuje ją. Postanowiła natychmiast wyjaśnić mu, dlaczego takie rzeczy jak dzisiejsze śniadanie nie powinny zdarzać się przez jakiś czas. Jednak zanim znalazła odpowiednie słowa, Cody wytarł usta serwetką i rzekł:

- No więc, powiedz mi o swojej matce.

Zamknęła usta i spojrzała na niego, marszcząc brwi ze zdumienia.

- O mojej matce?

- Zeszłej nocy mówiłaś, że zmieniła się.

Juliet podniosła kubek do ust i stwierdziła, że jest pusty. Poszła po dzbanek i wróciła, chcąc napełnić naczynia. Niestety, nie pomyślała przedtem, jak blisko Cody'ego się znajdzie.

- Julie? - Uśmiechnął się do niej.

- Uhm, tak? - Zauważyła, że kubek jest już pełny i w ostatniej chwili uniosła dzbanek.

- Zapytałem cię o twoją matkę.

- Moją matkę.

- Tak; czy się zmieniła.

Juliet odchrząknęła.

- Racja. Moja matka. Tak. Zmieniła się.

Spojrzał na nią z powątpiewaniem.

- Od kiedy?

Odstawiła dzbanek. Będąc dalej od Cody'ego, mogła lepiej myśleć i zastanowić się nad jego pytaniem.

- Od czasu, gdy sprzedali z ojcem ten antykwariat.

- Jak się zmieniła?

Juliet oparła się plecami o barek. Myślała nad odpowiedzią, choć jej rozsądniejsza połowa ponaglała ją, aby wyjaśniła Cody'emu, że nie będą więcej jadać razem śniadań.

- Powiedziałabym, że stała się trochę mniej zasad-

nicza. Nie jest już tak pruderyjna. Ten sklep jakby ich ograniczał. Mieli go od dawna, jeszcze przed moim urodzeniem...

Myśli o antykwariacie przywołały wspomnienia. Jako dziecko spędzała długie godziny w zatechłym, murowanym budynku, który w czasach gorączki złota był biurem. Najbardziej wbiły jej się w pamięć wspomnienia rodziców, aby była cicho i uważała na bezcenne dziedzictwo. Gdy się urodziła, ojciec i matka byli już po czterdziestce. Ot, spokojna para przed emeryturą, o ustalonym trybie życia.

Ciągnęła zamyślonym tonem:

- Tak, ten sklep ich ograniczał. A potem, kiedy wreszcie go sprzedali, zaczęli patrzeć na świat w inny sposób.

- W jaki?

- Nie wiem, jakby nowocześniej... - Juliet wyjrzała przez okno, ale nie widziała szerokiego pola. Widziała siebie: samotną małą dziewczynkę, którą przerażała perspektywa zawarcia jakiegokolwiek przyjaźni, i której rodzice, już starsi, interesowali się rzeczami dla niej niezrozumiałymi.

- Julie? Dobrze się czujesz? - W głosie Cody'ego brzmiała troska.

- Tak. Po prostu zamyśliłam się.

- Nad czym?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Ojciec zawsze nazywał mnie „myszką”. Wiedziałeś o tym?

Cody potrząsnął głową. Juliet ciągnęła:

- Mówił to pieszczotliwie, ale w końcu zaczęłam czuć się jak prawdziwa myszka, kryjąca się w zakurzonych resztkach z życia innych ludzi...

Juliet umilkła. Po jej policzku spłynęła łza.

- Julie... - rzucił miękko.

Wytarła łzę.



- Nie przejmuj się. To tylko chwila użalania się nad sobą. Już mi przeszło. - Przerwała i gdy znów się odezwała, jej głos brzmiał silniej. - Myślę, że za zmiany w mojej matce są odpowiedzialne Hawaje, przynajmniej częściowo.

Po sprzedaniu antykwariatu rodzice Juliet kupili mieszkanie na wyspie Maui i przenieśli się tam na stałe.

- Tak mi się zdaje - przyznał kwaśno Cody - że Hawaje mogą wywrzeć efekt nawet na kimś takim jak twoja matka.

- Nigdy jej nie lubiłeś - zauważyła cokolwiek sucho Juliet, wracając na swoje miejsce przy stole.

- Nie - zaprzeczył. - To ona nigdy nie lubiła mnie.

- Nieprawda - sprzeciwiła się Juliet, żałując, że nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

- Och, czyżby? Pamiętasz, jak przyprowadziłem cię do domu po tym, jak Billy Butley porwał ci sukienkę i wepchnął do strumienia? Natychmiast posadziła o to mnie.

- Ale wyprowadziłam ją z błędu.

- Dopiero po tym, gdy zabroniła mi zbliżyć się do ciebie.

- Cofnęła to.

- Nie mogła zrobić nic innego.

- Och, Cody, ona po prostu nie mogła zrozumieć, dlaczego ktoś taki jak ty może troszczyć się o taką mysz jak ja. Była podejrzliwa.

- Dlaczego?

- Sądziła, że... masz nieczyste zamiary.

- Jakie?

Juliet poczuła, że się rumieni i zawahała się. Cody już zrozumiał. Nagłe olśnienie sprawiło, że zakrzusił się kawą.

- Myślała, że chcę cię uwieść?

Juliet skinęła głową.

- To głupie, wiem. - Spojrzała na niego i dodała pospiesznie: - Ale teraz już tak nie myśli.

Zmarszczył brwi z niedowierzaniem.

- Tylko tak mówisz.

- Nie, słowo honoru. Ostatecznie w tamtych czasach miałeś tyle sympatii. Wiedziała o twoich randkach i doszła do wniosku, że nie musisz wykorzystywać jeszcze mnie. Teraz, na Hawajach, ona i ojciec rozluźnili się. Prawdę mówiąc - Juliet była zdecydowana dowieść, że jej matka zmieniała się - kiedy zadzwoniła do mnie w zeszłym tygodniu, wspomniała o nowym bikini.

- Emma Huddleston w bikini? - Cody nie wierzył własnym uszom.

- Ludzie mogą się zmieniać.

- I ty mi to mówisz - stwierdził ponuro.

Wpatrywał się w nią intensywnie. Z zewnątrz dobiegł dźwięk włączanej kosiarki do trawy. Juliet podskoczyła. Hałas wyrwał ją z rozmyślań o tym, jak niedawno Cody trzymał jej rękę, a ona pragnęła, aby przyciągnął ją bliżej do siebie.

Igrali z ogniem, wiedziała o tym. Wizyta w jego domu i wspólne śniadanie nie były najmądrzejszym pomysłem. Oczywiście, byli przyjaciółmi, ale przyjaciółmi na dystans, z wyraźnie określonymi granicami związku. Rozszerzanie tych granic nie miało sensu, zwłaszcza teraz, gdy jeden uśmiech Cody'ego sprawiał, że drżała od stóp do głów. Ilekroć jednak próbowała wyznaczyć mu, co o tym sądzi, albo rozbierał ją spojrzeniem, albo zmieniał temat, zanim zdążyła się odezwać.

Pomyślała z zawziętością, że rozmowa z nim nic nie da. Potrzebne było działanie. Śniadanie dobiegło końca i Juliet wiedziała, że taka sytuacja nie powtórzy się, dopóki jej oczarowanie Codym nie zmieni się w odległe, słodkie wspomnienie.

Wstała.

- Chyba czas na nas. Powinam być przed dziewiątą w tartaku McMulcha. - Zupełnie niepotrzebnie dodała:  
- Robię dla nich analizę kosztów.

- Och, tak. Pewnie. - Wstał i zaczął znosić naczynia do zlewu. Juliet pomogła mu.

Uwinęli się błyskawicznie. Wyszli razem, wsiedli do starej półciężarówki i ruszyli w stronę miasta.

W czasie jazdy Juliet unikała tematów osobistych. Umówili się, że półciężarówka zostanie na parkingu za restauracją, jeśli samochód Juliet będzie gotowy. Cody dowiedział się także, że nie musi przychodzić na próby, gdyż teraz wszyscy pracują nad przedstawieniami. Jego obecność miała być konieczna dopiero na kilka dni przed rozpoczęciem festynu.

Gdy Cody wysiadał przed sklepem z towarami żelaznymi, Juliet podziękowała mu za śniadanie.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odpowiedział szarmancko. - Zawsze jesteś mile widziana.

Uśmiechnęła się, kiwając głową i usiłując ignorować szalone bicie serca.

Obrócił się jeszcze w drzwiach sklepu i pomachał jej ręką. Gdy zniknął, mruknęła ponuro:

- „Zawsze”, aha! Na pewno niezbyt prędko...

Cody naprawdę powiedział to z przekonaniem. Śniadanie z Julie było czystą przyjemnością. Zrobiłby wszystko, aby ta przyjemność wkrótce się powtórzyła.

Gwiżdżąc, wszedł do wąskiego, ciasnego magazynu za sklepem. Pracownicy jeszcze nie przyszli. Sklep otwierano dopiero o dziesiątej.

Zajął się parzeniem kawy, jak co rano. Kiedy była gotowa, nalał sobie kubek. Później podszedł do sejfu przy kasie, wyjął pieniądze i paragony i zabrał na zaplecze, żeby wszystko podliczyć. Odkrył, że w poniedziałek sporo zarobili. Odczuwał zadowolenie, nie tylko z powodu kilku dodatkowych dolarów.

Ciągle pogwizdując, zebrał pieniądze do skórzanego woreczka i postanowił zaczekać na Elbę Lou Beaię, która miała otworzyć sklep. Kiedy przybyła, wymienił z nią kilka uprzejmych zdań, zabrał z kasy woreczek i poszedł do tylnego wejścia restauracji.

Również była zamknięta, gdyż posiłki wydawano od jedenastej. Cody podliczył pieniądze i paragony z poprzedniego dnia. Musiał robić to dwa razy, gdyż przed oczyma stale miał obraz Juliet. W końcu włożył wszystkie pieniądze do woreczka i zerknął na zegar. Dochodziła dziesiąta.

Podjechał ciężarówką do banku. Nawet nie musiał czekać w kolejce. Kwadrans później pieniądze były już bezpiecznie zdeponowane. Cody wrócił do restauracji, żeby razem z szefem kuchni przygotować zamówienie mięsa.

Od południa prawie do czternastej przebywał w restauracji, pełniąc obowiązki gospodarza i doglądając wszystkiego. Później zajrzał jeszcze do sklepu, aby sprawdzić z ekspedientką, czy trzeba zamówić więcej towaru, szczególnie narzędzi ogrodniczych.

Zanim się obejrzał, nadszedł czas obiadu. Nie wiedział, czy Juliet już jadła. Prawdopodobnie miała zamiar pracować do nocy nad przygotowaniami do festynu. Musiała jednak znaleźć czas na posiłek.

Wrócił do restauracji i zamówił dwa obiady: filety z halibuta, młode ziemniaki, fasolkę szparagową i sałatkę z marchewki. Mnóstwo protein i świeżych warzyw. Dla kobiety pracującej w nadgodzinach było to bardzo ważne. Gdy wszystko zapakowano, dołożył jeszcze butelkę wina.

Tuż przed osiemną zaparkował ciężarówkę przed odnowionym, wiktoriańskim budynkiem, gdzie Juliet wynajmowała biuro. Wniósł do środka olbrzymi kosz z jedzeniem.

Miał szczęście. Drzwi były otwarte, Juliet siedziała

przy biurku. Słyszał ciche, syczące dźwięki pracującej drukarki.

Postawił kosz na podłodze i zapukał we framugę drzwi.

- Julie?

Uniosła głowę znad papierów. Ostatnio, ilekroć patrzył jej w oczy, zawsze miał wrażenie, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Zamrugała gwałtownie.

- Cody?

- Julie - powtórzył.

Przez chwilę stał, uśmiechając się jak idiota. Wreszcie przypomniał sobie o koszyku. Podniósł go i z dumą oświadczył:

- Pomyślałem, że możesz być głodna, więc poprosiłem Rogera, żeby usmażył nam dwa filety z halibuta.

Wpatrywała się w niego, milcząc. Potem powiedziała:

- Och, Cody.

Jej ton sugerował, że mężczyzna zrobił coś, czego nie powinien.

- Słucham?

Nagle poczuł się głupio, stojąc w drzwiach z koszykiem. A jeszcze przed minutą przyniesienie Juliet obiadu wydawało mu się czymś całkowicie logicznym.

Drukarka zakończyła pracę. W starym budynku zapanowała dziwna cisza.

- Wejdz - powiedziała Juliet. - Zamknij drzwi.

Przeniósł kosz przez próg i odwrócił się, żeby wykonać polecenie. Usiadł na krześle naprzeciwko kobiety i popatrzył na swoje szare spodnie, w które przebrał się przed opuszczeniem restauracji.

- Cody, nie mogę sobie z tym poradzić - powiedziała. Jej głos starym zwyczajem załamał się lekko.

Cody postanowił rozładować nastrój.

- Z czym nie możesz sobie poradzić? Nie cierpisz halibuta?

Nawet się nie uśmiechnęła.

- Powiedziałam, że już nie będę cię unikać, ale nie powiedziałam, że będę spędzać z tobą każdą wolną chwilę.

Zabolało go to.

- Nie lubisz ze mną przebywać?

- Lubię, nawet bardzo.

- No to co w tym złego?

- Dużo.

- Dlaczego?

- Och, Cody...

- „Och, Cody” nic mi nie mówi.

- Och, Cody...

Czekał na dalszy ciąg. W końcu Juliet udało się wykrztusić:

- Wyjaśniłam ci to tamtej czwartkowej nocy. Ostatecznie to ja cierpiałabym, gdybyśmy... zaangażowali się.

- A kto mówi, że angażujemy się?

Wolała nie odpowiadać. Patrzyła na niego, marszcząc brwi. Cody ciągnął:

- A gdyby nawet, to skąd wiesz, że cierpiałabyś? Może to ja bym cierpiało. Do diabła, a może żadne z nas by nie cierpiało. Myślałaś o tym?

- Och, Cody, bądź realistą. Spójrz na siebie. Spójrz na mnie. To widać, które z nas skończy ze złamanym sercem.

Coś w nim pękło. Zerwał się tak szybko, że Juliet skuliła się w swoim krześle.

- To najbardziej tępa uwaga, jaką słyszałem w życiu - warknął. - Przyjrzałem ci się i wyglądasz świetnie.

Mówił prawdę. Wyglądała uroczo z jasnymi włosami opadającymi na ramiona i szeroko otwartymi orzechowymi oczami. Miała zarumienione policzki. Zdjęła zakiet tego ładnego kostiumu, którego nienawidziła i miała rozpięte górne guziki przy kołnierzyku bluzki.

Wyglądała jak kobieta oczekująca pocałunku. Cody miał ogromną chęć zrobić to. Obszedł biurko. Juliet patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Cody...

Postanowił nie odzywać się. Znów zaczęłyby sprzeczać się z nim, a ostatnio i tak mówiła za dużo. Pochylił się, kładąc dłonie na poręczach jej krzesła. Ich twarze znalazły się na tym samym poziomie.

Juliet jakby odprężyła się, spuszczać wzrok na jego usta.

- Cody...

Ponieważ wydawało mu się, że jego usta szczególnie interesują kobietę, zbliżył je jeszcze bardziej. Teraz mógł czuć jej ciepły, słodki oddech.

- Och, Cody...

Objął ją i powoli wyprostował się, pociągając Juliet za sobą. Później przytulił ją i zawładnął jej wargami.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Juliet zaczęła topnieć.

Cody trzymał ją mocno w ramionach, muskał wargami jej usta i mogła tylko mieć nadzieję, że to się nigdy nie skończy. Czuła ciepło w podbrzuszu, rozprzestrzeniające się na całe ciało.

Przyciągnął ją bliżej i pieścił szyję, a potem ujął jej twarz w obie dłonie, tak aby móc całować ją jeszcze mocniej.

Jęknęła i odchyliła głowę do tyłu. Przygarnął ją, drugą ręką gładząc jej włosy i szepcząc słodkie, uwodzicielskie słówka. Czerwieniła się, ale pragnęła słyszeć więcej.

Wsunął dłoń pod jej bluzkę i dotknął nagiej skóry. Poczuła, jak nabrzmiewają jej piersi. Małe guziczki wysunęły się z dziurek. Bluzka rozchyliła się, ukazując wąskie, białe ramiączko halki.

- O Boże - szepnęła Juliet, tak samo jak czwartkowej nocy. Poczuła, że bluzka zsunęła się jej z jednego ramienia.

Duża, ciepła dłoń Cody'ego wsunęła się pod ramiączko i ściągnęła je. Ukazała się miseczka koronkowego biustonosza, który Juliet kupiła w szale zakupów w Sacramento kilka tygodni temu.

Cody odciągnął ją nieco i zerknął na pierś.

- Piękna - westchnął, obejmując ją.

Juliet również spuściła wzrok, doświadczając cudownego, rozkosznego uczucia. Patrzyła, jak Cody pieści kciukiem jej sutkę, która twardnieje i nabrzmiewa.



Później mężczyzna wsunął kciuk pod koronkę i delikatnymi ruchami obnażył sutkę.

- Och, Cody... - jęknęła głośno, odrzucając głowę do tyłu.

Pochylił się i całował jej nagą pierś delikatnie i łagodnie. Pocałunki były rozkoszne. Juliet miała wrażenie, że traci zmysły. Przez trzydzieści lat nie przeżyła niczego tak cudownego. Cody zsunął ramiączko jej halki i obnażył drugą pierś. Było to jak przejście z rzeczywistości w inny świat, świat wrażeń, gdzie panuje wszechogarniająca przyjemność i nie liczy się nic poza dotykiem warg Cody'ego na jej rozpalonej skórze.

A potem w holu rozległ się dźwięk odkurzacza dozorcy. Juliet przypomniała sobie, gdzie jest.

- O Boże - mruknęła.

Cody musiał wyczuć dziwne napięcie w jej ciele. Przerwał pieszczoty i uniosł głowę na tyle, żeby móc spojrzeć jej w oczy. Miał wzrok zamglony pożądaniem.

Bardzo wolno spytał:

- Chcesz, żebym przestał?

Z początku nie mogła znaleźć słów. Od chwili gdy podniósł ją z obrotowego krzesła, zapomniała, że ta wspaniała, przerażająca rzecz między nimi może się skończyć. Było to coś nieuniknionego.

Podczas gdy rozważała pytanie, Cody sam podjął decyzję.

- To nie jest właściwe miejsce - mruknął i zaczął poprawiać ubranie Juliet. Delikatny dotyk jego rąk nie odpowiadał gorzkiemu grymasowi na twarzy.

Juliet otrząsnęła się i zaczęła mu pomagać. Po chwili biustonosz, halka i bluzka były na swoim miejscu.

Jednak kobieta i tak czuła się naga. Z każdą sekundą coraz bardziej bała się spojrzeć na Cody'ego. Jego milczenie odbierała jak potępienie.

Kiedy w końcu usiadła i zmusiła się do podniesienia wzroku na niego, zobaczyła, że rozpakuje koszyk z jedzeniem. Rzucił jej przelotne spojrzenie i miała wrażenie, że dostrzegła w nim błysk irytacji.

- Jedzenie stygnie - powiedział. - Nie ma sensu go marnować.

Juliet nie miała pojęcia, co robić, więc po raz drugi tego dnia pozwoliła mu się nakarmić. Siedziała odrętwiała, patrząc, jak Cody zbiera papiery z jej biurka, rozkłada plastikowe serwetki i ustawia pełne talerze. Nalał nawet wino.

Jadła nie czując smaku, choć miała niejasne wrażenie, że posiłek jest znakomity. Straciła apetyt po tym, co się stało, lecz wiedziała, że musi jeść. Potrzebowała energii, aby poprowadzić kolejne wieczorne spotkanie z organizatorami festynu.

W trakcie posiłku dozorca zapukał raz do drzwi. Juliet krzyknęła do niego, że za chwilę skończą i mężczyzna poszedł dalej.

Gdy zjedli, Cody spakował koszyk i Juliet podziękowała mu za obiad. W dziwnej ciszy jej słowa zabrzmiały fałszywie i czysto grzecznościowo. Zbyt intymność miała katastrofalny efekt. Czwartkowy pocałunek wydawał się teraz dziecinną zabawą. W takiej chwili podziękowanie za obiad wydawało się bezsensowne.

- Nie ma za co - odpowiedział równie grzecznie, kierując się z koszykiem w stronę drzwi.

W tym samym momencie Juliet znalazła odwagę, która przedtem ją opuściła.

- Cody.

- Tak? - spytał, nie odwracając się.

- Niezależnie od tego, jak reagowałam na twoje pocałunki, podtrzymuję to, co powiedziałam wcześniej. Nie chcę wdawać się z tobą... w romans.

- Skąd wiedziałem, że to powiesz? - W jego głosie pobrzmiwała ironia.

- Czy znów mam zacząć cię unikać?

Milczał. Potem wystudiowanym ruchem wzruszył ramionami.

- Nie, do diabła. - Zwrócił się twarzą do niej.  
- Nie martw się. Nie jestem geniuszem, ale tym razem chyba cię zrozumiałem. Jeśli po tym, co się stało przed chwilą, dalej mówisz „nie”, to zaczynam wierzyć, że twierdzisz tak z przekonaniem. Nie musisz mnie unikać, Julie. To ja będę cię unikał.

Odwrócił się i otworzył drzwi. Akurat zbliżał się dozorca.

- Proszę wejść - powiedział Cody, przestępując próg. - Już skończyliśmy.

Cody dotrzymał słowa. Przez ponad tydzień Juliet widywała go tylko przelotnie, na ulicy lub wczesnym rankiem, gdy wychodził karmić zwierzęta. Dwa razy, późną nocą, dał improwizowane koncerty na ganku swego domu. Akurat wtedy demony pożądania najbardziej dręczyły Juliet.

Nikt nie wiedział, jak ciężko było jej zostawać wtedy w łóżku. Ona, która zawsze była zbyt nieśmiała, aby okazywać komuś brak sympatii, prawie nienawidziła Cody'ego, gdy grał na harmonijce. Wyobrażała sobie wówczas jego usta i przypominała sobie, co z nią robiły.

Kręciła się i przewracała na łóżku. Udawało jej się opanować tylko wtedy, gdy przypominała sobie ponuro, iż od pierwszego mężczyzny, z którym będzie się kochać, wymaga czegoś więcej niż jednostronnego zaangażowania i w rezultacie złamanego serca.

Mechanik w garażu stwierdził z wymuszonym uśmiechem, że jej samochód jest jak nowy. Stanowiło to pewną pociechę. Z radością nakładała na siebie coś czerwonego i jechała górskimi drogami nieco

szybciej niż powinna, czując moc silnika, posłusznego jej rozkazom. Otwierała okna pozwalając, aby wiatr rozwiewał jej włosy.

Poza tym, dzięki Bogu, był festyn. Sprawy organizacyjne zajmowały prawie cały wolny czas, nie pozostawiając zbyt wielu chwil na marzenia o człowieku, którego i tak nie mogła mieć.

Letnie Szaleństwo nabierało kształtu. Sztuka o Marii Elenie, z Yolandą i Archie'em w rolach głównych, dorównywała wielkim melodramatom. Tresura pudli wyglądała zabawnie. Reve Reid miała na liście trzydzieści pięć różnych zgłoszeń. Burt Pandley ustawił w sali rady miejskiej więcej budek i straganów, niż mieli w poprzednich latach.

Płaskonosy Jake przyjaźnił się z jednym z redaktorów *Sacramento Bee*. Miał on przyjechać i wszystko wskazywało na to, że wzmianka o Letnim Szaleństwie pojawi się w dodatku niedzielnym dwudziestego pierwszego, tuż przed rozpoczęciem festynu. Wszyscy byli zachwyceni. Nawet Babe Allen zmieniła ton. Przedtem nie chciała płacić Juliet, która nie była profesjonalistką, całej stawki. Obecnie wymyślała nowe projekty na następny rok, kiedy to Juliet znów obejmie kierownictwo.

Gdyby nie nieustanna tęsknota za Codym, życie Juliet byłoby tak doskonałe, jak w jej najśmielszych marzeniach. Jednak to uczucie było wszędzie i przesłaniało nawet radość z odniesionego sukcesu.

Czasami próbowała myśleć o swym palącym pożądaniu jako o czymś dobrym, rodzaju treningu zmysłów. Nareszcie, choć ze znacznym opóźnieniem, przebudziły się. Zaraz potem miała ochotę krzyczeć. Mężczyzna, który mógłby rozbudzić ją w pełni, na koniec złamałby jej serce.

Nadeszła niedziela, dwudziesty pierwszy. W *Sacramento Bee* na pierwszej stronie ukazał się artykuł

o festynie. Dodatkowo zamieszczono całostronicowe, kolorowe zdjęcie sali rady miejskiej, obwieszona transparentami z napisem „Letnie Szaleństwo”. Gazowe latarnie, wyglądające nostalgicznie, jak z innej epoki, dopełniały obrazu.

Juliet wstała o piątej i czekała przed sklepem na dostawę gazet. Gdy je przywieziono, kupiła dziesięć egzemplarzy.

W artykule wspomniano Juliet cztery i zacytowano dwa razy. Autor przedstawił ją jako „tegorocznego kierownika festiwalu, miejscową księgową, chłodną i opanowaną, z talentem do pracy”. Juliet była tak zachwycona, że wycięła artykuł i wysłała go do rodziców. Kilka dni później zadzwoniła matka, żeby jej pogratulować. Stwierdziła, że oboje byli dumni z sukcesu córki.

- Och, Juliet, wiedziałam - powiedziała matka tuż przed odłożeniem słuchawki. - Wiedziałam, że się zmieniasz, wychodzisz ze skorupy, zaczynasz korzystać z życia. Jestem ci za to naprawdę bardzo wdzięczna. Widzisz, my z ojcem byliśmy raczej... zajęci, nie mówiąc już o tym, że byliśmy trochę sztywni i zbyt rozsądni. Nie, nie, nie zaprzeczaj. Przyzwyczajaliśmy się do życia jako bezdzietna para i nigdy nie przystosowaliśmy się do zmian, jakie zaszły po twoim urodzeniu. W jakiś sposób... przytłaczaliśmy cię. Chcieliśmy, żebyś była cicho i nie sprawiała kłopotów. Stałaś się dokładnie taka, jak chcieliśmy: nieśmiała mysz... Pamiętasz, tak nazywał cię ojciec?

- Tak - odpowiedziała cicho Juliet. - Pamiętam.

- Ale później zauważyłam pewne znaki, świadczące o tym, że stajesz się bardziej przedsiębiorcza. Kiedy dostaliśmy ten artykuł, byłam już pewna, że miałam rację. Jesteś wspaniała, naprawdę.

Juliet, wzruszona do głębi, z trudem wyjąkała podziękowanie.

- Nie dziękuj mi, tylko sobie. Sama tego dokonałaś.

Porozmawiały jeszcze chwilę. Matka z entuzjazmem opowiadała Juli et o pięknej wyspie i plażach z czarnym piaskiem, które niedawno odwiedzili. W końcu stwierdziła:

- Teraz muszę już iść. Twój ojciec na mnie czeka. Wiesz, co rano pływamy.

Juliet wyobraziła sobie swoją siedemdziesięciodwuletnią matkę w nowym bikini i uśmiechnęła się. Odłożywszy słuchawkę, siedziała chwilę na łóżku. Przeżywała słowa matki. Od dnia, w którym ukończyła trzydzieści lat i złożyła przyrzeczenie, przeszła długą drogę. Niezależnie od tego, jakie rozczarowania mogło przynieść życie, postanowiła pamiętać, co udało jej się osiągnąć.

Tego samego wieczora jej postanowienie omal nie przyszło. Odbywała się właśnie pierwsza z dwóch zaplanowanych prób kostiumowych.

Ponieważ wszyscy aktorzy zgłosili się na ochotnika, Juliet ograniczała próby do minimum. Dopiero dwie ostatnie miały obejmować całość. Chodziło o oszczędność czasu, ale rezultat mógł być katastrofalny. Należało nie tylko połączyć akty sztuki w jedno, ale również włączyć światła i dźwięk.

Po dwóch godzinach, kiedy byli w połowie pierwszego aktu, zaczęły brać górę emocje. Jeden z pudli Lalo Severina ścigał śpiewającego kota Raleigha McDuffa i w końcu zapędził go na kurtynę. Zwierzątko dało się zwabić na dół puszką sardynek. Pudlem musiała zająć się Andrea Oakleaf, gdyż miał brzydko podrapany nos. Yolanda Hughes zaczęła przejawiać temperament aktorki i wpadła w szal na widok swego kostiumu. Ponoć uciskał jej biust. Archie Kent spóźnił się. Z czterech członków zespołu Barbershop Boys dwóch miało chore gardła.

Juliet sama zaczynała tracić cierpliwość. Próbowwała wytłumaczyć Yolandzie, jak ma odegrać scenę śmierci, a w tym czasie statyści, którzy powinni tworzyć wściekły tłum, schodzili ze sceny i wracali z butelkami wody sodowej i krakersami.

- *Adiós, amigos... Adiós, amigos...* - zaintonowała dzielnie Yolanda i natychmiast zaczęła szarpać przód sukni, mamrocząc inwektywy pod adresem krawca-partacza.

Jakimś cudem udało jej się przestać na czas wystarczający do jej powieszenia. Niestety, żałosna muzyka, mająca oznaczać odejście niewinnej duszy, nie rozległa się. Reflektor, który powinien oświetlać kołyszącą się wolno postać, skierowano na Bobba Dumphy'ego, popijającego colę i chrupiącego czekoladowy batonik.

Juliet była załamana i chciało jej się płakać. Nagłe usłyszała cichy, niski głos:

- Mogę ci coś doradzić?

Zesztywniała. Cody. Widziała go, jak wszedł i usiadł w ostatnim rzędzie, czekając na swoją kolej.

Obróciła głowę. Nawet w przyćmionym świetle wyglądał wspaniale.

- Co takiego? - zapytała głucho.

- Hej, Juliet, co teraz? - domagał się ktoś ze sceny. Ludzie zaczęli się niecierpliwic.

- Uwolnijcie Yolandę, włączcie światła i pięć minut przerwy - zarządziła.

Zapalenie świateł powitano rykiem pozbawionym entuzjazmu. Wreszcie pojawił się Archie i pomógł katowi zdjąć Yolandę z szubienicy.

Juliet odważyła się spojrzeć w twarz mężczyźnie, będącemu jej nie spełnionym marzeniem.

- Co proponujesz?

Odpowiedział z chłodną pewnością siebie:

- Wyślij do domu wszystkich poza obsługą tech-

niczną. Potem zacznij od początku, tylko ze światłami i muzyką. Kilku ochotników niech zajmie pozycje wskazujące zmianę światła. Jutro, kiedy strona techniczna będzie dopracowana, możesz dołączyć aktorów i wszystko powinno się udać.

Juliet zastanowiła się i przyznała, że to lepszy pomysł niż próbowanie wszystkiego naraz. Aktorzy przynajmniej wiedzieli, co mają robić i kiedy. Jeśli uda jej się zgrać z tym światło i dźwięk, na pewno pójdzie dobrze.

- Dobry pomysł - stwierdziła po chwili. - Dzięki.
- Nie ma za co - odparł i ruszył w stronę przejścia.

Juliet pomyślała, że nawet po tym, jak kazała mu trzymać się z daleka, przybył jej z pomocą. Poczowała smutek i tęsknotę. Z trudem obróciła się twarzą do sceny i zawołała:

- W porządku! Proszę teraz o uwagę...

Plan Cody'ego okazał się dobry. Wszystko chodziło jak w zegarku, a aktorzy grali znacznie lepiej niż zeszłego wieczora. Co prawda pudel znów warczał na kota, a Yolanda ciągle nie była zadowolona z kostiumu, który sama poprawiała. Za to Archie Kent przybył na czas i cały zespół Barbershop Boys mógł odśpiewać „Słodką Adelinę”.

Cody, zachowujący się uprzejmie, lecz z dystansem, zaśpiewał wesołą piosenkę o kowboju i mule z kulawą nogą. Jego drugim numerem popisowym była nowa ballada. Juliet znajdowała się za sceną, gdy śpiewał, więc nie słyszała jej. Dobiegły ją tylko ostatnie akordy. Najpierw panowała cisza, a potem nawet Bobby Dumphy przerwał jedzenie, żeby dołączyć się do owacji.

Próba generalna zakończyła się przed pierwszą w nocy, ale wszyscy byli zadowoleni. Rewia nie była może doskonała, ale też nie musiała taka być. Chodziło o śmiech, zabawę, kolor i muzykę. Właśnie tego potrzebowali.



Następnego dnia Juliet nawet nie udawała, że pracuje w biurze. Rozmawiała z kobietami ze zgrupowania metodystów o naleśnikach na śniadanie następnego dnia i przejrzała pobieżnie wszystkie zestawy, przygotowane na paradę. Raz jeszcze sprawdziła wszystko z Rewą, a potem pojechała do sali rady miejskiej, gdzie wystawa rzemiosła i przemysłu była już prawie gotowa.

O czwartej wróciła na farmę i wzięła długie, chłodny prysznic. Potem w samej bieliźnie położyła się na czterdzieści pięć minut. Obudziła się, gdy przyśnił się jej Cody, pytający ze smutkiem, dlaczego go odrzuciła. Po jej twarzy spłynęły dwie łzy.

Wytarła je, wstała i nałożyła swą czerwoną sukienkę. Kiedy była gotowa, przejrzała się w lustrze. Cienka dzianina opinała jej kształty do miejsca poniżej talii, gdzie zaczynała się szeroka spódnica. Siegała do pół łydki, zaś pod spodem Juliet miała krynolinową półhalbkę. Oczywiście nie było jej widać, za to szeleściła podniecająco przy każdym kroku.

Patrząc w lustro, zapomniała o smutku, wywołanym dziwnym snem. Była gotowa na otwarcie rewii Letniego Szaleństwa.

Gdy podniesiono kurtynę, na sali były wolne tylko miejsca stojące. Juliet odstała swoje krzesło starszej kobiecie z Ukiah, która twierdziła, że przez trzydzieści lat nie opuściła pierwszej nocy rewii. Prosiła też, aby za rok przygotowano rezerwację, gdyż sporo ludzi chciałoby mieć pewność, że znajdą się dla nich miejsca.

Juliet stanęła przy bocznym wejściu. Wygaszono światła. Rozległ się szmer podniecenia. Dziewczyna nie przestawała myśleć o tysiącu rzeczy, które mogły się nie udać.

Jednak wszystko poszło dobrze. Oczywiście, pojawiły się drobne problemy ze zmianą oświetlenia i kilku

aktorów zbyt późno wchodziło na scenę. Mimo to cały wieczór przebiegał znakomicie.

Zwierzęta posłusznie wykonywały polecenia treserów, Yolanda ani razu nie poprawiała kostiumu. Gdy rozległa się żałosna muzyka, oznajmiająca przedwczesną śmierć Marii Eleny, Juliet zdawało się, że słyszy ciche szlochy wśród publiczności. Płaskonosy Jake zakończył przedstawienie dwoma wierszami: „Yukon Joe i kobieta, którą oszukał” oraz „Okażcie litość rannej i obdarłej”.

Cody wystąpił w czarnej koszuli z perłowymi guzikami, czarnych dżinsach i takich butach. Wszyscy przytupywali i wtórowali mu, gdy śpiewał piosenkę o mule. Juliet także tupała i podśpiewywała refren, a na koniec dołączyła się do owacji.

Nie słyszała przedtem drugiej piosenki, więc nie była na nią przygotowana. Cody zasiadł na stołku. Oświetlał go punktowy reflektor. Zaśpiewał o mężczyźnie, zakochanym w kobiecie, która go nie chciała. Ballada była zmysłowa i czuła. Publiczność umilkła. Juliet zamknęła oczy i oparła się o ścianę.

Wyobraziła sobie, że Cody śpiewa dla niej. Przypomniała sobie chwile, gdy trzymał ją w ramionach: raz na ganku jego domu, drugi raz w biurze. Piosenka skończyła się. Juliet westchnęła, wspominając wargi Cody'ego na swych ustach.

A potem rozległy się grzmiące okłaski. Podskoczyła i rozejrzała się z poczuciem winy. Jednak nikt nie zwracał na nią uwagi. Wszyscy rzucili się ku scenie, klaszcząc. Juliet, zagubiona i dezorientowana, dołączyła do nich.

Po odegraniu hymnu wywoływano artystów jeszcze przez dziesięć minut. Na koniec Babe Allen powiedziała kilka słów o śniadaniu następnego dnia i atrakcjach festynu.

Juliet ruszyła do garderoby, gdzie podziękowała

krótko aktorom za doskonałą grę. Przypomniała im, że czeka ich jeszcze kilka przedstawień, więc nie powinni spocząć na laurach. Tylko raz załamał jej się głos, gdy nieopatrznie spojrzała na Cody'ego. Patrzył na nią chłodno.

Kiedy skończyła mówić, zaprosił wszystkich do swego lokalu na drinka na koszt firmy. Juliet poczuła ból. Tak bardzo podobał się jej w tej fantazyjnej koszuli i tak bardzo miała ochotę pójść do restauracji.

A właściwie dlaczego miałyby nie iść? Rewia okazała się sukcesem. Miała prawo to celebrować.

Wyszła z Jakiem i Andrea. Po drodze omawiali festyn i rewię. Księżyc w pełni i światło gazowych latarni rozświetlały mrok.

W barze wszystkie miejsca były zajęte. Juliet przepychała się przez tłum, śmiejąc się i machając do znajomych. Wokół rozlegały się pochwały:

- Dobra robota, Juliet!
- Hej, Juliet, tak trzymaj!
- Wdzieliśmy, że poradzisz sobie i mieliśmy rację!

Na barku czekał już drink: truskawkowe *daiquiri*. Cody musiał powiedzieć barmanowi, że to jej ulubiony. Cieszyła się, że przyszła. Rozejrzała się, szukając Cody'ego, ale nie zauważyła go.

Pociągnęła łyk chłodnego napoju. Nigdy w życiu nie piła nic lepszego.

Ciągle słyszała pochwały, poklepywano ją po ramieniu i mówiono, jaka jest wspaniała. Wkrótce w drzwiach pojawiła się druga gwiazda wieczoru i ludzie zwrócili swą uwagę na nią.

Juliet, lekko oszołomiona drinkiem, oparła się plecami o kontuar i zaczęła wybijać obcasem rytm muzyki, dobiegającej z szafy grającej. Uznała, że dzisiejsze wystąpienie warte było jej wysiłków.

Skończyła drinka i natychmiast przy jej łokciu

pojawił się następny. Chciała zapłacić, lecz barman gestem odmówił przyjęcia pieniędzy. Podziękowała i zaczęła przepychać się przez tłum w stronę szafy grającej. Miała zamiar wybrać sobie jakąś piosenkę.

- Juliet, ja płacę... - Ktoś wcisnął jej do ręki garść drobnych.

Bez pośpiechu, popijając drinka, wybrała kilka piosenek, głównie country, o ludziach wyjętych spod prawa i beznadziejnej miłości.

- Dobrze się bawisz?

Cała euforia wieczoru zdawała się koncentrować w szarozielonych oczach mężczyzny, opierającego się o szafę grającą. Patrzył na nią z uśmiechem, tak samo czułym jak zawsze, dopóki ich stosunki nie uległy zmianie.

Nie odpowiedziała i chyba nie musiała. Z czystą przyjemnością wpatrywała się w Cody'ego, wyznając mu bez słów, że nie tylko go pragnie, ale także brakuje jej go.

- Dobrze się bawisz? - powtórzył. W jego głosie czaiła się lekka kpina. Podobnie mówił do niej, gdy chciał ją uspokoić po tym, jak przestraszyło ją jakieś głupstwo.

Skinęła głową. Coś w niej drgnęło. Zrozumiała, że pewne rzeczy po prostu muszą się zdarzyć. Choćby miała w końcu cierpieć, to wypieranie się uczuć sprawi, że przeżyje tylko pół życia.

Odpowiedziała szeptem i zgodnie z prawdą:

- Brakowało mi ciebie.

Teraz jemu zabrakło słów. Zajrzał jej w oczy i po chwili wyznał:

- Tęskniłem za tobą.

Wokół nich trwało przyjęcie. Ludzie przepychali się i żartowali, byli rozgadani i podnieceni. Ale Juliet słyszała tylko bicie swego serca, przyspieszony oddech i dobiegającą gdzieś z oddali muzykę z szafy grającej.

Oczekiwała tego, co powiedział Cody:

- Jedź dziś ze mną do domu.

Położyła dłoń na jego policzku, napawając się gładkością i ciepłem świeżo ogolonej skóry. Musnął pieszczotliwie jej rękę, a potem złożył na niej pocałunek.

- Pragnę cię, Julie - wyznał. - Męczy mnie udawanie, że tak nie jest.

Na moment jej serce zamarło.

Cóż z tego, że nie mogło to trwać? Cóż z tego, że prawdopodobnie w końcu straci i kochanka, i przyjaciela, i klienta? Miała trzydzieści lat i jeszcze nie zaznała ciepłego dotyku nagiego męskiego ciała. Ten pierwszy raz powinien być z kimś, kogo podziwia, w czasie Letniego Szaleństwa, gdy spełnia się marzenie jej życia: stała się silną, pewną siebie kobietą, która zawsze w niej była.

Cody spoglądał na nią, czekając na odpowiedź. Wreszcie zdecydowała się.

- Ja też jestem zmęczona udawaniem, Cody. Pojadę z tobą.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Juliet zostawiła swój samochód na parkingu przed restauracją. Do domu pojechali półciężarówką. Po drodze księżyc w pełni bawił się z nimi w chowanego, kryjąc się wśród gałęzi drzew. Gdy wjeżdżali przez bramę, olbrzymia, srebrna kula zawisała nad górami.

Kemo czekał na nich przy schodach, skomląc z radości. Cody podrapał go za uchem i poklepał po karku, a potem otworzył drzwi samochodu po stronie Juliet.

- Chodź tu, kobieto! - rozkazał i przytulił ją do piersi.

Krynolinowa halka wydeła się i spoczęła na ramieniu mężczyzny jak purpurowa piana. Juliet zaśmiała się i przytuliła mocniej Cody'ego.

Wniósł ją na ganek i jedną ręką przekręcił klucz w zamku. Kopnięciem otworzył drzwi, przeniósł Juliet przez próg i ruszył po schodach na górę.

Okna jego sypialni wychodziły na północ. W tym pokoju również znajdowała się wnęka. Można było usiąść w niej i podziwiać widok za oknem.

Przestali się śmiać. Cody postawił Juliet przy oknie i objął ją od tyłu. Przez chwilę stali tak, patrząc na księżyc.

Moment dzielący oczekiwanie od spełnienia przeciągał się. Wąska chmura przesłoniła księżyc, lecz wkrótce odpłynęła i raz jeszcze pokój zalał blask.

- Czy nadal... tego chcesz? - szepnął cicho Cody.

Obróciła się i spojrzała mu w oczy.

- Tak.

- Boisz się?
- Bardzo.
- Nie będziemy się spieszyć.
- To dobrze.

Objęła go za szyję. Pochylił się i ich usta zetknęły się. Cody pieścił wargami jej twarz od podbródka, poprzez policzki aż do czubka nosa.

Po chwili oderwał się i powiedział ochryłym głosem:

- Zapomniałem o dobrych manierach. Masz ochotę na drinka?

Juliet, lekko oszołomiona po dwóch *daiquiri*, potrząsnęła głową i uniosła usta, czekając na więcej cudownych pocałunków. Cody spełnił jej życzenie i przez chwilę słychać było jedynie ciche westchnienia. Wkrótce dłonie mężczyzny stały się śmielsze. Dotknął jej piersi.

Westchnęła i wygięła się w łuk, tak, aby przyjemność stała się większa. Cody skierował ją delikatnie w stronę łóżka. Padli nań, chichocząc. Gdy się uspokoili, mężczyzna uniosł się na łokciu i spojrzał Juliet w oczy.

- Hej, podoba mi się ta sukienka - powiedział.

Spojrzała na niego żartobliwie, marszcząc brwi z niedowierzaniem.

- Nie przypominam dawnej siebie.

- Myślę - rzucił, rysując palcem serce na jej nagim ramieniu - że zacznym doceniać twoje nowe „ja”.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę. - Jego głos brzmiał ochryple. Przesunął dłonią od jej piersi, przez płaski brzuch do miejsca, gdzie spódnica rozszerzała się. Chwytał brzeg i bardzo wolno zaczął podciągać go do góry.

- Juliet Titanio Huddleston - mruknął, zobaczywszy czerwoną, krynolinową halkę - co my tu mamy?

Nie odezwała się, leżąc bez ruchu. Cody delikatnie wygładził fałdy bielizny i pocałował Juliet. Ten pocałunek rozpałił ją.

- Och, Cody - wyjąkała, drżąc z podniecenia i ze strachu przed tym, co miało się zdarzyć.

Szepcząc coś erotycznego, a zarazem uspokajającego, wsunął palec pod elastyczny pasek halki. Juliet zadygotała, więc szepnął:

- Szs, wszystko w porządku.

Wolno przesunął halkę przez jej biodra.

- Unieś się, Julie - powiedział i lekko ugryzł ją w ucho.

Jękawszy, podniosła biodra tak, aby mógł ściągnąć halkę. Rzucił ją gdzieś na podłogę. Wsunął palce w jej szpilki, zdjął je po kolei i również rzucił na podłogę.

Juliet nie miała na sobie pończoch. Pieszczotliwie przesunął palec po jej gładkiej, nagiej nodze, aż dotarł do miejsca, gdzie niedawno znajdowała się halka.

Śmiało podążył wyżej, sunąc dłonią pod czerwonym materiałem. W końcu dotknął delikatnej materii, osłaniającej centrum jej kobiecości. Nikt nie dotykał jej tam przedtem. Westchnęła i zeszywniała. Mruczając uspokajająco, gładził ją tak długo, aż zapomniała o wszystkim poza odczuwaną rozkoszą.

Pomimo braku doświadczenia jej ciało zdawało się wiedzieć, co należy robić. Pod gorącym dotykiem mężczyzny wznosiło się zachęcająco. Usta złączyły się w nie kończącym się pocałunku. Pod ręką Cody'ego Juliet poruszała się bezwstydnie. Zdrętwiała, purpurowiejąc na myśl o tym, że zauważył jej reakcję. Cody szepnął, że to w porządku, tak trzeba. Rozluźniła się, napawając się odczuwaną rozkoszą.

Szeptał coś zachęcająco, obdarzając ją delikatnymi pieszczotami. Wiła się, jęcząc i całując go z namietnością. Przytulała go coraz mocniej, pragnąc spełnienia, choć nie wiedziała, jak je osiągnąć.

Jednak Cody wiedział. Spokojnie, bez pośpiechu, przesunął dłoń po jej brzuchu. Jęknęła, marząc, aby nie przestawał.



Musnął wargami jej policzek i ucho.

- Dobrze, Julie. Rozluźnij się...

Wsunął rękę pod jej figi i przesunął w dół. Juliet westchnęła. Cody pieścił ją tak samo jak przedtem, ale tym razem bez osłony materiału.

Była to najpiękniejsza i najbardziej szokująca rzecz, jaka się jej przydarzyła. Już nie obchodziło jej, co musi sobie myśleć Cody. Znalazła się w magicznym świecie zmysłów, gdzie za zamkniętymi oczami narastało zrozumienie tego, co będzie za chwilę. Czekąco ją najpiękniejsze przeżycie w jej samotnym, dziewiczym życiu.

Wrażenie narastało. Cody nie przestawał jej pieścić, jakby znał potrzeby jej ciała. A potem stało się coś niewiarygodnego. Od miejsca, w którym ją dotykał, rozeszła się fala rozkoszy. Juliet odrzuciła głowę do tyłu i krzyknęła. Znajdowała się niemal w agonii ze szczęścia. Wreszcie, osłabiona, opadła na łóżko.

Przez długi czas nie była w stanie myśleć. Leżała, rozluźniona i zaspokojona tak, jak nigdy przedtem. W końcu jednak wróciła do rzeczywistości. Zauważyła, że leży z głową ukrytą w prześcieradłach i odwróconą od mężczyzny. Cody znajdował się obok, ciągle kompletnie ubrany.

Nagle pojawiła się straszliwa myśl. Czyżby zachowała się dziwacznie?

Zarumieniła się, przypominając sobie, jak wiała się i jęczała zupełnie bez wstydu, a na koniec nawet krzyknęła głośno. Czytała w powieściach o wielkiej przyjemności, jaką dają stosunki seksualne. Nie miała za to pojęcia, jak reagują mężczyźni, gdy kobieta krzyczy i szaleje.

Nie potrafiła spojrzeć na Cody'ego ani nawet otworzyć oczu. Cisza przeciągała się. Z każdą mijającą sekundą Juliet czuła się coraz bardziej głupio. Wreszcie

postanowiła otworzyć oczy. Ujrzała w świetle księżyca zarys poduszki.

Ręka Cody'ego znajdowała się pod jej szyją. Mężczyzna tulił Juliet do siebie, gładząc ją wolno. Znów miała ochotę na rozpoczęcie wszystkiego od nowa. Akurat gdy to pomyślała, Cody zabrał rękę. Doszła do wniosku, że poczuł się zakłopotany jej zachowaniem i teraz rozważa, jak pozbyć się jej w taktowny sposób. Czekwała, kiedy usiądzie i odsunie się od niej.

Tymczasem on dotknął jej twarzy.

- Julie? O co chodzi? Dobrze się czujesz?

W jego głosie, wbrew oczekiwaniom kobiety, nie było dezaprobaty. Wolno obrócił ku sobie jej twarz.

- Julie?

W ciemnościach jego oczy lśniły czułością i troską. Juliet zamrugała, lecz wyraz twarzy Cody'ego nie uległ zmianie.

- Czy coś jest nie w porządku? Powiedz.

Spróbowała odsunąć się, jednak przytrzymał ją.

- Powiedz.

Westchnęła i odprężyła się nieco.

- Och, Cody...

- Dalej - ponaglił ją. - Powiedz to.

Zachęcona czułym spojrzeniem i dotykiem, zdołała wykrztusić:

- Chyba... straciłam zmysły, prawda?

Przyjrzał się jej i zachichotał.

- O tak, z całą pewnością.

- Wygłupiłam się, wiem o tym.

Usiadła.

Delikatnie popchnął ją na łóżko i pochylił nad nią, opierając się na łokciu.

- Nie tak szybko. - W jego oczach pojawiło się zrozumienie. - Powiedziałem, że straciłaś zmysły, a nie że wygłupiłaś się.

- Ale ja...  
- Byłaś piękna, seksowna, niewiarygodna.  
- Och, Cody...  
- Podnieciłaś mnie tak, że nie mogłem myśleć.  
- Przynął się bliżej. - Prawdę mówiąc, ciągle jestem podniecony...

- Co takiego?

- Podniecony.

Zrozumiała, co miał na myśli, gdy zbliżył do niej biodra.

- Och. - Uśmiechnęła się lekko. - Byłeś? Jesteś?

- Chcesz się założyć?

- To znaczy, że ciągle chcesz, hmm...

- Bardziej niż cegokolwiek. - Pocałował ją w nos.

Wierzyła mu. Poczowała ulgę i niewysłowione szczęście. Objęła Cody'ego i pocałowała go z całą namiętnością. Potem uświadomiła sobie jeszcze coś, co należało omówić przedtem.

- Cody?

- Tak?

Odsunął się nieco, więc wykorzystała to i usiadła na łóżku.

- Widzisz... - Nie wiedziała, jak to powiedzieć. Zawahała się, wzięła głęboki oddech i wyrzuciła z siebie: - Nie mam ze sobą żadnych środków antykoncepcyjnych.

- Nie martw się o to. - Podeszedł do szuflady i wyjął z niej małe opakowanie prezerwatyw. Juliet zacerwieniła się.

- To dobrze.

Przez chwilę jedynie patrzyli na siebie z uśmiechem. Juliet uświadomiła sobie, że nie boi się już tak bardzo.

Wyciągnęła rękę. Cody podeszedł i uściśnął ją lekko. Położył pudełeczko na szafce nocnej i usiadł. Zaczął ściągać buty. Juliet obserwowała go z radością i czymś

w rodzaju bojaźni. Nareszcie miała odkryć odwieczny sekret mężczyzny i kobiety. Miała go odkryć z Codym, najpiękniejszym mężczyzną na całym świecie.

Cody zdjął skarpetki i koszulę. Potem wstał, rozpiął dżinsy i ściągnawszy je, powiesił na oparciu krzesła. Wreszcie naturalnym ruchem pozbył się slipów.

Dotychczas Juliet widywała nagich mężczyzn tylko na obrazach. Pomyślała, że ciało Cody'ego przypomina rzeźbę. Było za piękne, aby mogło być prawdziwe. Nadal był podniecony.

Nerwowo oblizała wargi, zastanawiając się, czy będą do siebie pasować. Potem stwierdziła, że jest głupia. Oczywiście, że musieli pasować. On był mężczyzną, a ona kobietą; stworzono ich po to, aby pasowali do siebie.

Cody wziął ją za rękę i gestem nakłonił do podniesienia się na kolana. Ściągnął jej sukienkę przez głowę. Włosy opadły jej na ramiona. Została tylko w czerwonym biustonoszu i takich figach. Przyjrzał się jej i rzucił czule:

- Och, Julie. Niegrzeczna dziewczynka.
- Czerwony to teraz mój kolor - odpowiedziała zuchwale.
- Teraz do ciebie pasuje - zgodził się.

Jego biodra, twarde i silne, dotykały jej, ostre włosy na piersiach muskały jej ciało nad biustonoszem. Cody pochylił głowę i ich usta spotkały się w pocałunku. Był to długi, zmysłowy pocałunek. Juliet gładziła plecy Cody'ego i włosy na jego karku. Ocierała się o mężczyznę całym ciałem, czerpiąc przyjemność nie tylko z dotyku, ale również z reakcji Cody'ego na nią. Jęczał cicho i jego podniecenie rosło z każdą chwilą.

Zaczął całować jej szyję i przesunął usta na piersi. Wolno rozpiął biustonosz i rzucił go na bok. Pieścił jej biust tak samo, jak niedawno w biurze. Juliet opadła na łóżko, Cody uczynił to samo. Nie przery-

wajac pieszczot, wsunął dłoń pod cienkie figi. Jęknęła, gdy je zdejmował.

Teraz oboje byli nadzy. Cody ciągle gładził ją i Juliet znów była bliska spełnienia. Choć pragnęła tego, chwyciła rękę mężczyzny i powstrzymała go.

Zamarł, otworzył oczy i popatrzył na nią.

- Jeśli nie przestaniesz, przeżyję rozkosz bez ciebie - szepnęła cicho.

- To dobrze.

- Nie - zaprotestowała. - Chcę... wszystkiego, Cody. Pragnę cię.

Nieśmiało, z ciekawością i wahaniem, ujęła dłonią jego męskość. Jęknął i zamarł. Uśmiechnęła się i pogładziła go.

- Jeśli nie przestaniesz - ostrzegł ją - to ja przeżyję rozkosz bez ciebie.

Pocałowała go i sięgnęła na szafkę po prezerwatywę. Czerwiniąc się zaproponowała, że pomoże mu ją nałożyć. Pokazał jej, co ma robić. Potem zaczął ją pieścić. Wreszcie rozsunął jej nogi i położył się na niej. Delikatnie zaczął w nią wchodzić. Wydała cichy jęk bólu. Cody przyrzekł jej, że po pierwszym razie nigdy już nie będzie bolało. Śmiało, nie zdradzając swych zamiarów, objęła go nogami i podała się całym ciałem w przód, samodzielnie niszcząc przeszkodę. Zabolało ją. Cody krzyknął, jakby i on odczuł ból. Potem leżał bez ruchu, dając jej czas na przyzwyczajenie się do nowej sytuacji. Juliet oddychała szybko i nierówno, powtarzając sobie, że najgorsze już minęło.

Niewiarygodne, lecz jej ciało uwierzyło w to. Mięśnie rozluźniły się, ból minął. Czuła już tylko przyjemność z przebywania w najintymniejszym zespoleniu z mężczyzną. Było to podniecające. Jęknęła. Chyba wiedział, że to jęk rozkoszy, a nie bólu. Wolno uniosł biodra.

- Wszystko w porządku? - szepnął do niej.

- Tak - odpowiedziała, wychodząc mu naprzeciw.  
- O tak, Cody...

- Spróbuję być ostrożny - zapewnił ją.

Wyczuwała w nim napięcie. Musiał naprawdę wysilać się, aby zczekać z ostateczną rozkoszą na nią. Wiedziała, że za pierwszym razem nie będzie to możliwe. Na razie wystarczała jej rozkosz płynąca z bycia razem tak blisko. Zaczęła poruszać się pod nim, chcąc, aby zatracił się tak, jak ona przedtem.

- Nie rób tego... -jęknął.

Po chwili poddał się swym zmysłom. Wykonał kilka szybkich ruchów i nadeszło spełnienie. Juliet przytuliła się do niego mocniej.

W końcu jego oddech stał się wolniejszy. Pogładziła go po plecach. Oparł się na łokciu i spojrzał na jej zaczerwienioną twarz.

- Chciałem zczekać na ciebie.

- I tak było pięknie.

Obdarzył ją swoim uroczym uśmiechem. Szepnęła:

- Och, Cody, dziękuję. Już myślałam, że... nigdy nie poznam tego, co dzieje się między mężczyzną i kobietą.

Uśmiechnął się ponuro.

- Chyba tym razem nie jest to takie podziękowanie, jak ostatnio? Wtedy kazałaś mi trzymać się od ciebie z daleka.

Juliet pociągnęła go na łóżko.

- O, nie. Bądź tak blisko, jak zechcesz. Im bliżej, tym lepiej.

Padli sobie w ramiona i przez chwilę po prostu tak leżeli. Wreszcie Cody wstał, pocałował Juliet, pogładził ją po twarzy i ociągając się ruszył do łazienki.

Juliet leżała na łóżku naga, nie czując wstydu. Z podwórza dobiegło ją pianie koguta.

Pomyślała, że czasem życie jest piękne prawie nie

do zniesienia. Szczególnie ta chwila, gdy prześcieradła nosiły dowody na to, że Juliet przestała być dziewicą.

Znów zapał kogut. Juliet przewróciła się na bok i wyrzała przez okno. Nie widziała księżyca. Prawdopodobnie zbliżał się świt. Na czarnym niebie lśniły jedynie niezliczone gwiazdy.

Dokładnie w tym momencie dotarła do niej prawda. Uderzyło ją to jak obuchem. Zakochała się w Codym, choć powinna być rozsądniejsza! Miała wrażenie, że tonie, choć właściwie zaczęło się to już dwa tygodnie temu. Zabrakło jej powietrza. Leżała, oszołomiona. Jak mogło do tego dojść?

Odpowiedź była prosta: pozwoliła sobie na to. Marzyła o nim, poddała się pożądaniu i dziś w nocy poszła z nim do łóżka.

To nie było rozsądne. Nie pasowało do jej planów na życie. Mimo wszystko prawda była taka, że kochała Cody'ego.

Skrzypnęły drzwi od łazienki. Juliet drgnęła. Na tle framugi rysowała się sylwetka mężczyzny. Chyba zauważył jej zmieszanie, gdyż powiedział:

- Julie? Dobrze się czujesz?

Zmusiła się do uśmiechu.

- Tak, doskonale.

Wyłączył światło i podszedł do niej. Uśmiechała się, myśląc: kocham cię. Nie powiedziała tego głośno, nie mogła. Nie teraz, a może nawet nigdy.

Musiła być realistką. Cody nie był dla niej. To prawda, że stała się pewna siebie i zaczęła nosić ubrania w śmielszych kolorach, ale gdzieś w głębi jeszcze drżała mała myszka. Cody zawsze będzie przystojniakiem, na widok którego kobietom miękną kolana. Kiedyś znajdzie partnerkę tak wspaniałą i przedsiębiorczą, jak on sam.

Jeśli została jej jakaś resztką rozsądku, powinna przestać wyobrażać sobie, co by było, gdyby miała

spędzić z Codym resztę swych dni. Do tego nigdy nie dojdzie. Urok i magia są przejściowe, jak Letnie Szaleństwo.

Cody ukląkł na łóżku.

- Julie? - Czule odgarnął jej włosy za ucho. - O co chodzi? Powiedz mi.

- O nic - skłamała. - Naprawdę.

Przysunęła się do niego i podała mu usta. Kiedy złożył na nich pocałunek, przyciągnęła go bliżej. Przelotne uczucie smutku minęło. Jej miłość była tajemnicą. Zaakceptowała to. Postanowiła cieszyć się tym, co jej darowano. To było po prostu Letnie Szaleństwo: krótkie, słodkie i szalone. Czas poznania ekstazy i przebywania w świetle reflektorów.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

Dopiero po kilku dniach Cody zaczął podejrzewać, że Juliet zachowuje pewien dystans.

Z początku nic nie zauważał. Nawet poświęcił cały swój wolny czas Letniemu Szaleństwu. Co więcej, nie miał nic przeciwko temu. Był na każde zawołanie i Andrea Oakleaf stwierdziła z błyskiem w oku, że naprawdę podziwia jego „świadomość społeczną”.

Przepasany fartuchem, pomagał kobietom ze zgromadzenia metodystów przygotować naleśniki na śniadanie. Wziął na siebie niechlubne obowiązki pomywacza, gdyż Yardley Forbes nie pokazał się, zmęczony nadmiarem trunków, wypitych zeszłej nocy.

Na paradzie zabrakło jednego sędziego. Cody zastąpił go i zaznaczył swój głos w przyznawaniu tytułów „najoryginalniejsze”, „najpiękniejsze” i tym podobne. Udział wzięło ponad trzydziestu przedstawicieli i Cody upewnił się, że istnieje tyleż kategorii. Nic dziwnego, iż pod koniec wszyscy otrzymali jakiś tytuł „naj” w tej czy innej dziedzinie.

W niedzielę, na wyścigu żab, znalazł się na kolanach przy mecie, usiłując sprawdzić, która zawodniczka minęła linię jako pierwsza. Tej nocy, będąc sam na sam z Juliet, skarżył się, że rola sędziego na wyścigach żab nie jest zajęciem godnym dystyngowanego mężczyzny. Zaśmiała się, pocałowała go i stwierdziła, iż tylko prawdziwy mężczyzna mógł paść na kolana w błoto, a mimo to zachować autorytet i godność, gdy wstał. Zmarszczył brwi z powątpiewaniem, a ona

znów go pocałowała, dziękując mu słodko. Gdyby go poprosiła, natychmiast padłby znów na kolana w najgorszym błocie.

Był oczarowany Juliet Huddleston. Wydawało mu się, że przez wszystkie te lata patrzył na nią jakby przez mglistą zasłonę, podobną do tej, jaka wisiała w oknie sypialni jego rodziców. Teraz, od kilku tygodni, zasłona zaczęła znikać i widział kobietę wyraźnie. Szczupła, urocza, w czerwonej sukience i z tym słodkim, niewinnym uśmiechem, który zmieniał się w prowokujący i kuszący, gdy tylko zostawali sam na sam.

Zdumiewały go te zmiany. Juliet stanowiła mieszankę niewinności, szczerzej ciekawości i naturalnej zmysłowości. Podniecało go to niemal do bólu. Bardzo często ich zbliżenia kończyły się tak, jak za pierwszym razem i Cody osiągał szczyt przed nią. Jednak ona nie miała nic przeciwko temu. Gładziła go po plecach, tuliła i zaczynali od nowa. Wtedy Cody najpierw upewniał się, że Juliet jest zaspokojona, zanim oddawał się swej rozkoszy.

Nigdy przedtem nie przeżywał czegoś podobnego. Z żadną kobietą nie było to tak radosne, podniecające i czułe.

Gdyby miał skłonności do samoanalizy, mógłby dojść do wniosku, że jego wygląd skłania ludzi do utrzymywania dystansu. Szczególnie kobiety traktowały go tak, jakby nie był człowiekiem z normalnymi pragnieniami i potrzebami. Większość uważała go za rzecz do zaspokajania ich namiętności; za obiekt seksualny, a nie za mężczyznę.

Nie przeszkadzało mu to, gdy był młody i miał prostsze potrzeby: trochę alkoholu, zabawa i później zwykłe, fizyczne rozładowanie. W miarę upływu czasu przestało mu to wystarczać. Wycofał się ze związków, które nie satysfakcjonowały go.

Zaczął podejrzewać, że odsunął się także od przyjaciół i społeczeństwa. Andrea Oakleaf miała rację: nie chciał angażować się w nic, poczynając od randki z jeszcze jedną kobietą, traktującą go jak obiekt, kończąc na wchodzeniu co wieczór na scenę podczas rewii Letniego Szaleństwa.

Teraz, z Julie, było inaczej. Chciał spędzać z nią każdą noc i kochać się do chwili, gdy oboje, zmęczeni, uśmiechali się z satysfakcją. Spali potem razem, wtuleni w siebie. W takich chwilach gotów był zrobić wszystko dla dobra festynu.

Przyjaźnili się od zawsze i oboje wiedzieli, że w przeszłości to on dawał więcej. On opiekował się Julie i dbał o nią. Tej nocy, której oddała mu swą niewinność, wszystko się zmieniło. Teraz ona dawała. Dała mu śmiech, ciepło i delikatność, której nie znał wcześniej.

Pragnął wyznać jej to i wyjaśnić, jak bardzo odmieniło się jego życie. Niestety, tu była jedyna smuga na paśmie szczęścia.

Ilekczo próbował z nią porozmawiać, zrećnie zmieniała temat. Musiała natychmiast zapytać go o opinię w jakiejś nie cierpiącej zwłoki sprawie albo przypominała sobie coś ważnego do zrobienia.

Przez kilka dni Cody brał jej bojaźliwość za dobrą monetę. W końcu on także nie miał doświadczenia w omawianiu przyszłości z kobietami. Jednak w połowie tygodnia zaczęło go to dręczyć.

Chciał tylko porozmawiać; sam jeszcze nie miał pewności, co to oznacza. Ona jednak wymykała się i nie pozwalała mu nawet zacząć tego tematu.

Postanowił zabrać się do tego bardziej zdecydowanie. Uznał, że dobrze będzie oderwać się na chwilę od wszystkiego. Wówczas Juliet mogłaby ujawnić swe uczucia.

W środę, pomimo czekającej ich pracy, namówił

Juliet na węgry. Mieli wybrać się za miasto przed południem, pod pretekstem lekcji jazdy konnej.

Wybrał dla niej konia o imieniu Lucky, dwunastoletniego gniadego wałacha. Był to najłagodniejszy z jego trzech koni.

Pokazał jej wolno i dokładnie, jak należy go siodłać, tak, aby następnym razem mogła zrobić to sama. Wyjaśnił jej, że Lucky lubi, gdy wsiada się nań z lewej strony i zsiada z prawej. Przytrzymał wodze, gdy wkładała lewą stopę w strzemień i przerzucała prawą na drugą stronę.

Na początek przeprowadził Lucky'ego kilka razy wokół padoku, pozwalając koniowi i jeźdźcowi przyzwyczać się do siebie. Potem dał wodze Julie i przypomniał jej, aby w czasie kłusu starała się trzymać głowę konia na dole. Już wkrótce kobieta całkiem nieźle cwałowała. Może trochę zbyt wysoko unosiła się w siodle. Parę razy przypomniał jej, aby starała się dostosować do rytmu Lucky'ego, gdyż inaczej pożałuje tego później.

Na koniec wsiadł na swego ulubieńca, Blaze'a i opuścili padok. Towarzyszył im Kemo, podskakując z boku. Przejechali przez pole i znaleźli się między drzewami. W rodzinie Cody'ego zawsze nazywano ten trakt Szlakiem Zachodzącego Słońca. Była to doskonała trasa dla początkujących, niezbyt wąska i niezbyt stroma. Poniżej szemrał strumień, omywając kamienie. Nad nim wznosiły się brzozy.

Cody ufał Lucky'emu, lecz wolał jechać pierwszy, narzucając tempo spacerowe. Kemo biegał po górach, powarkując od czasu do czasu na jaszczurki i uważając, aby nie wpaść pod końskie kopyta.

Przejażdżka była miła i bez przygód. Wkrótce dojechali do polany, przez którą płynął strumień. Rozlewał się tu nieco szerzej, a nasłonecznione miejsce między drzewami zachęcało do odpoczynku.

Cody zsiadł i pomógł zejść Julie. Rozłożył koc przy dużym otoczaku. Usiedli, opierając się plecami o kamień. Milczeli, patrząc na konie, pasące się przy strumieniu.

W końcu Julie westchnęła:

- Tu jest jak w niebie. Spełnienie mojego kaprysu.

Przypomniał sobie noc, gdy podwoził ją do domu, kiedy zepsuł się jej samochód. Mówiła wtedy, że mieszkanie w jego domu „nie jest czymś tak stałym jak marzenie. Raczej chwilowym, jak kaprys”. Zdecydował, że nadszedł czas na poważną rozmowę.

- A więc tyle to dla ciebie znaczy: kaprys? - zapytał. Spojrzała mu w oczy.

- Co masz na myśli?

- Nas. Czy jesteśmy kaprysem?

Przechyliła głowę, jakby ta myśl wymagała zastanowienia, jednak to, co powiedziała, nie było odpowiedzią:

- Brzmi to jak potępienie.

- Po prostu chcę wiedzieć.

- Co? - Wyglądała bardzo niewinnie.

Spróbował jeszcze raz.

- Czy jesteśmy kaprysem?

Uśmiechnęła się.

- Och, Cody. Dlaczego o to pytasz?

- Odpowiedz.

Pochyliła się ku niemu.

- Tak, jesteśmy kaprysem. Spełnionym kaprysem.

- Co to znaczy?

- Och, Cody... - Pocałowała go w szyję.

- Julie... - Zaczynał zapominać, o czym mieli rozmawiać.

Szepnęła:

- To najcudowniejsza rzecz, jaka mnie spotkała.

Czuł jej zapach, czysty i świeży jak woda z mydłem, ale z dodatkiem czegoś cytrynowego.

- Julie...

Przedtem myślał, że to miejsce będzie idealne do przeprowadzenia rozmowy. Teraz, czując pieśczośliwy dotyk, zrozumiał, że nadaje się ono do czegoś więcej. Nikt nie mógł im przeszkodzić. Mógł zdjąć z Julie czerwoną bluzkę i całować jej piersi. Mógł pieścić ją w słońcu.

Dzielnie próbował nalegać:

- Chcę tylko wiedzieć, dokąd to prowadzi; to wszystko.

Ugryzła go w ucho.

- Dobrze, jeśli tego chcesz.

- Julie, mówię poważnie...

Przesunęła palcem po zapięciu jego koszuli i zrobiła coś, co podniecało go do granic wytrzymałości i co wyznał jej zaledwie wczoraj: chwyciła przez dzinsy jego męskość.

- Słucham cię.

To, czy go słuchała, czy też nie, przestało się liczyć. Cody zapomniał o zdrowym rozsądku. Chwycił Julie i zaczął ją całować.

- Och, tak, Cody... - mruzczała.

Nie tracił czasu. Złapał brzeg jej bluzki i ściągnawszy ją, rzucił na gałąź drzewa, potem zerwał biustonosz. Popchnął Julie na koc, całując jej pierś i rozpinając dzinsy. Pomogła mu, zrzucając buty i figi w błyskawicznym tempie.

Robiła z nim coś, czego nie potrafiły jego najbardziej doświadczone kochanki. Zapominał o wszystkim poza jej słodką twarzą i orzechowymi oczami. Nie pamiętał nawet, że chciał wyjaśnić, co tak naprawdę dzieje się między nimi.

Pragnął jej tak silnie, jakby nie kochali się zaledwie kilka godzin temu. Wiedział, że Julie czuje to samo.

Rozpiął spodnie, zrzucił je i wyjął z kieszeni prezerwatywę.

Ostatnio wszędzie nosił je ze sobą. Juliet czekała z zamkniętymi oczami, gotowa na jego przyjęcie. Patrzył na nią, nie wierząc, że jeszcze niedawno uważał ją za przeciętną.

- Julie...

Chwyciła jego rękę i pociągnęła ku sobie. Złączyli się, jęcząc i wzdychając.

Cody przypomniał sobie mgliście, w jakim celu przywiózł tu Julie. Znowu udało jej się wykręcić od rozmowy. Poczł lekłą złość. Było to jednak uczucie na granicy świadomości. Raniło go przypuszczenie, że Julie może traktować go tak jak inne: jako obiekt, przystojniaka bez serca, spełnienie kaprysu. Z takimi ludźmi nie rozmawia się o przyszłości. Te myśli nie pozwoliły mu zatracić się w rozkoszy.

Gdy zmęczeni leżeli obok siebie, pocałował Julie w czubek nosa i odsunął się, aby poprawić ubranie. Zrobił to szybko, a potem obserwował ubierającą się kobietę. Zerkąła na niego, uśmiechając się konspiracyjnie. Cieszyła go ich bliskość i przeżyta rozkosz. Później jednak przypomniał sobie, w jakim celu tu przyjechał. Zmarszczył brwi. Julie siedziała na kocu, czesząc włosy.

Pomyślał, że może powinien cieszyć się tym, co ma. Przejazdzka była przyjemna, kochanie się piękne. Czy miał to zniszczyć, zaczynając temat, na który Julie nie miała ochoty? Wahał się, lecz w końcu zapytał:

- Julie?

Przerwała czesanie włosów i mruknęła:

- Hmm?

Śmiało ciągnął:

- Nadal chcę porozmawiać.

- O czym?

- O nas; o tym, co się między nami dzieje...

Natychmiast schowała grzebień i zerknęła na zegarek.

- O Boże, już po jedenastej. O wpół do pierwszej

umówiłam się z Babe Allen na lunch. Możesz uwierzyć, że obiecała dać sześć posążków na jutrzejszą wyprzedaż?

Cody popatrzył na nią.

- Jakich posążków?

Wstała.

- No wiesz, chińskie figurki. To gratka dla kolekcjonerów.

Spojrzał na nią z irytacją. Oczywiście, gdy zaczął mówić o nich, Julie nie mogła raptem zaczekać ani sekundy.

- A więc? - rzucił cokolwiek szorstko. - Musisz zjeść lunch z Babe, aby zdobyć figurki na wyprzedaż?

- Mniej więcej tak. - Spuściła skromnie oczy.

- Babe chce także porozmawiać o przyszłym roku i o tym, czy znów pokieruję festynem.

Gestem nakazała mu wstać, żeby móc strzepnąć koc.

- Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że jest już tak późno.

- Julie, zaczekaj. - Chwycił ją za ramię.

- Nie! - Wyrwała się i natychmiast rzuciła mu zawstydzone spojrzenie. - Przepraszam. Naprawdę nie wiedziałam, że już tak późno... A teraz wstań, proszę.

Patrzył na nią dłuższy czas i w końcu powiedział:

- Nie możesz ciągle od tego uciekać. Kiedyś musimy porozmawiać o nas.

Nagle wyglądała tak, jakby miała się rozpłakać.

- Wiem.

Czuł się podle, widząc ją w takim stanie, ale ponieważ było to ważne, drażył temat:

- A więc kiedy?

Wiedziała, że Cody nie wstanie, dopóki nie usłyszy odpowiedzi. Podeszła do brzegu strumienia i spojrzała w dół, na własne, zamglone odbicie. Później nagle obróciła się ku mężczyźnie.



- Czy ty... Czy to ci się podoba? Mówię o tym, co dzieje się między nami? - Jej głos był cichy i brzmiało w nim wahanie.

- Tak, do diabła.

- A więc... co jest nie tak?

Po raz drugi poczuł się podle.

- Nie powiedziałem, że coś jest nie tak.

- W takim razie dlaczego nie możemy po prostu... cieszyć się tym?

- Ależ robimy to; ja się cieszę. Nie o to chodzi. Chcę po prostu porozmawiać, to wszystko.

Spojrzała na niego, a na jej twarzy malował się smutek. W końcu poprosiła:

- Czy możemy z tym poczekać, proszę?

- Do kiedy?

Westchnęła.

- Do końca festynu. Czy do tego czasu nie możemy cieszyć się tym, co mamy?

- Masz na myśli spełnienie kaprysu? - Jego słowa zabrzmiały gorzko.

Odwrociła spojrzenie.

- Tak; tak przypuszczam.

Milczał, rozważając to i myśląc ponuro, że Julie może go odrzucać tylko z jednego powodu: nie widziała dla nich przyszłości. Był dla niej spełnieniem kaprysu i niczym więcej. Wkrótce ona wróci do rzeczywistości, a on znajdzie się za drzwiami.

Zmusił się do rozważenia propozycji. Wolał nie poddawać się swemu bólowi i złości z powodu tego, że był wykorzystywany. Uświadomił sobie, że gotów jest spełnić jej życzenie. Może wynik rozmowy nie będzie tak zły, jak się tego obawiał.

Wzruszył niedbale ramionami, jakby nie czuł ciężaru w sercu.

- W porządku, po festynie. Porozmawiamy w niedzielę po ostatnim przedstawieniu.

Uśmiechnęła się, wyciągając rękę.

- Dobrze. A teraz wstań. Naprawdę muszę wracać.

Objęła go z uśmiechem i podała usta do pocałunku.

Potem odsunęła się i zaczęła trzepać koc. Cody spoglądał na nią, myśląc ponuro, że nie umie być na nią zły. Wyglądała uroczo i była tak pełna życia i radości. Jej oczy lśniły, skóra była zaróżowiona. Do diabła, może naprawdę wykorzystywała go. Ostatecznie jednak warto było widzieć, jak nieśmiała Juliet Huddleston w końcu podbija świat.

Zdecydował się zrobić, jak prosiła. Chciał przeżyć resztę dni Letniego Szaleństwa przy niej. Później miała mu wyjawić swój sekret, którego teraz pilnie strzegła.

- Pomóż mi dożyć koc - poprosiła słodko.

Uśmiechał się, podchodząc do niej. Podjęta decyzja poprawiła mu humor. Nagle uwierzył, że do niedzieli wszystko będzie dobrze.

W pewnym sensie w sprawach sercowych Cody był tak samo niewinny, jak Juliet.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Babe czekała cierpliwie w kafejce, popijając mrożoną herbatę. Juliet zajęła miejsce naprzeciwko.

- Przepraszam, Babe. - Mówiąc to, zerknęła na zegarek, co zresztą robiła przez całą drogę powrotną.

Babe machnęła ręką.

- Nic nie szkodzi. Wykorzystałam czas na wypicie czegoś zimnego.

- Cody zaprosił mnie na przejażdżkę konną. - Juliet delikatnie poprawiła się na krześle. - To był mój pierwszy raz. Myślę, że dopiero jutro poczuję, jak dobrze się bawiłam.

Babe uśmiechnęła się.

- Dobrana z was para. Mogę ci powiedzieć, że wiele kobiet w mieście pozieleniało z zazdrości.

Juliet zaczerwieniła się. Nie chciała myśleć o innych kobietach. Pospiesznie chwyciła menu.

- Zamówiłaś już coś? - spytała ze zbytnim ożywieniem.

Babe miała zamiar namówić ją do prowadzenia festynu w przyszłym roku i wiedziała, że ciągnięcie niewygodnego tematu bynajmniej nie ułatwi jej zadania.

- Nie. Czekałam na ciebie. - Otworzyła swoją kartę i spojrzała na nią z zainteresowaniem. - Kelnerka mówiła, że mają świeże pastrami, ale polecała indyka z grilla i sałatkę...

Juliet odprężyła się widząc, że Babe nie zamierza już mówić o niej i o Codym. Podeszła kelnerka i przyjęła zamówienia.

Posiłek okazał się sukcesem dla obu kobiet. Nie tylko jedzenie było znakomite. Juliet udało się zdobyć figurki na wyprzedź, zaś Babe wydobyła od niej przyrzeczenie, że poprowadzi festyn w przyszłym roku. Nalegała nawet, aby Juliet przyjęła czek.

Dziewczyna poczuła się tak szczęśliwa, że zapragnęła podzielić się swą radością z Codym. Babe przyrzekła namówić związek kupców do podniesienia wynagrodzenia Juliet. Pieniądze, zarobione w przyszłym roku, miały być przeznaczone na nowe fotele do sali rady miejskiej.

Juliet ruszyła do restauracji „McIntyre”. Była pewna, że zastanie tam Cody'ego.

Weszła do chłodnego wnętrza i przez chwilę nic nie widziała w półmroku. Gdy wzrok przyzwyczał się, zobaczyła bar, a przy nim Cody'ego i piękną kobietę. Cody stał tyłem do drzwi. Rudowłosa piękność w jedwabnej bluzce i wąskiej spódnicy pochylała się ku niemu, unosząc do ust papierosa. Mężczyzna podał jej ogień, powiedział coś cicho i natychmiast odsunął się. Kobieta chwyciła go za ramię. Spojrzął na jej dłoń o polakierowanych na czerwono paznokciach, a potem przeniósł wzrok na jej twarz. Obca puściła go.

Juliet zrozumiała, że podobne sceny muszą rozgrywać się często. Cody był wyjątkowo przystojnym mężczyzną, a jego praca sprawiała, że stykał się z chętnymi kobietami niemal bez przerwy. Był skazany na otrzymywanie wielu propozycji. Przez te wszystkie lata Juliet nieraz była tego świadkiem.

Tym razem miała wrażenie, że zadano jej bolesny cios nożem. Chciała odwrócić się i wybiec, jednak Cody już ją zobaczył.

- Julie! - W jego głosie zabrzmiała autentyczna radość.

Ruda piękność obrzuciła Juliet długim, chłodnym

spojrzeniem. Prawdopodobnie zastanawiała się, co taki mężczyzna jak Cody widzi w kimś takim jak Juliet Huddleston.

Cody ruszył do niej z błyskiem w oku. Objął ją i pocałował na przywitanie. Od razu spytała:

- Kto to jest?

Zerknął w kierunku rudej piękności i wzruszył ramionami.

- Chyba nazywa się Laura. Jest nowa w mieście. Pracuje w agencji nieruchomości Brucknera.

- Jest... naprawdę piękna.

- Tak - zgodził się, ponownie wzruszając ramionami, jakby temat obcej zupełnie go nie interesował.

- Chodź, przejdziemy do biura.

Gdy szli przez kuchnię, zapytał:

- Jak ci poszło z Babe? Wiem, że umierasz z chęci opowiedzenia mi tego. - Uśmiechnął się lekko.

Patrząc na niego, Juliet zapomniała o nieznanym kobiecie z płomiennymi włosami. Na świecie nie istniało nic poza jej miłością. Z trudem powstrzymała słowa cisnące się na wargi: „Kocham cię, Cody”.

Wiedziała to od chwili, gdy Cody zaczął nalegać, aby porozmawiali o ich związku. Podejrzewała, że wie, co mężczyzna chce jej powiedzieć: żeby nie przywiązywała się za bardzo, gdyż nie potrwa to wiecznie. Marzyła o rzuceniu mu się w ramiona, wyznaniu miłości i błaganiu, aby jej nie zostawiał. Jednak czyniąc tak, straciłaby go szybciej, niż miało to nastąpić.

Tak więc, zamiast szczerzej rozmowy, uwiodła go. Później, gdy nalegał, udało, że śpieszy się na spotkanie z Babe. W końcu zgodził się poczekać do niedzieli. Była mu za to wdzięczna. Postanowiła milczeć i cieszyć się tymi kilkoma dniami, jakie im zostały.

- Julie? - Spojrzał jej w oczy z zatroskaniem. - Co się dzieje? Wyglądasz, jakbyś odpłynęła o tysiące kilometrów.

- Przepraszam, zamyśliłam się.
- Na jaki temat?
- Och, na różne tematy... - Machnęła ręką, wchodząc do biura.
- Masz na myśli Babe?
- Tak. Tak, Babe. Daje nam figurki na wyprzedaż, i to jeszcze nie wszystko...

Ostatnie, cenne dni Letniego Szaleństwa mijały stanowczo za szybko. Juliet wydawało się, że zaledwie zdążyła mrugnąć, gdy nadeszła sobota, przedostatni dzień festynu. Tej nocy, zamiast przedstawienia, miał się odbyć bal Gorączki Żłota.

Juliet spędziła cały dzień nadzorując ekipę dekoratorów i zespół muzyczny, składający się z sześciu przyjaciół Płaskonosiego Jake'a. Cody pojawiał się co chwila i pomagał we wszystkim. Próbował namówić Juliet, aby przyszła o wpół do szóstej na obiad do jego restauracji, ale niestety, nie miała na to czasu. O szóstej wpadła do domu, chwyciła kanapkę, wzięła szybki prysznic i przebrała się w swój kostium.

O siódmej stanęła przed dużym lustrem w sypialni. Miała na sobie granatowy mundur z połowy dziewiętnastego wieku z mosiężnymi guzikami, czarne oficerki i furażerkę. Zasalutowała swemu odbiciu, stwierdzając, że wygląda dokładnie jak jedna z ulubionych postaci kreowanych przez Lottę Crabtree: dobosz. Udało jej się nawet pożyczyć bębenek ze szkoły podstawowej.

Kostium, na który zdecydowała się po długim namyśle, nie był łatwy do skompletowania. W czwartek rano musiała wybrać się do sklepu w Sacramento. Za wypożyczenie stroju zapłaciła sporo, głównie dlatego, że brała go wcześniej, a zwrócić mogła dopiero w poniedziałek, po zakończeniu festynu.

Po zakończeniu festynu...

Dobosz w lustrze popatrzył na nią smutno. Juliet

wzdrygnęła się i odwróciła od swego żalostnego odbicia. Ten magiczny tydzień był wszystkim, o czym mogła marzyć - i jeszcze się nie skończył.

Pojechała do miasta swym czerwonym samochodem. Otworzyła okna i włączyła muzykę, aby nie poddawać się ponuremu nastrojowi. Zresztą włączone radio przynosiło też inną korzyść: pozwalało jej nie zwracać uwagi na niepokojące rżenie silnika. Pomyślała tylko, że po zakończeniu festynu musi sprawdzić, co jest nie tak.

Po zakończeniu festiwalu...

Ta myśl znowu popsuła jej humor. Nastawiła głośniej radio i zaczęła podśpiewywać.

Najpierw podjechała pod swoje biuro. Wzięła z sejfu kasetki, które miały być używane tej nocy i bilety, wydrukowane przez Jake'a już tydzień temu. Do sali dotarła o wpół do ósmej. Miała szczęście, gdyż akurat ktoś zwalniał miejsce na parkingu.

Zostawiła bębenek w samochodzie, wzięła kasetki i bilety i weszła do sali.

Ceglany budynek był stosunkowo chłodny i jak na standardy miasteczka, raczej wystawny. Salę oświetlał kryształowy kandelabr - dar Eyana McMulcha, patriarchy rodziny McMulchów. Ściany ozdobione były freskami przedstawiającymi sceny odkrycia i wydobywania złota w Emerald Gap. Namalowane zostały dwadzieścia lat temu przez Rutgera Dunlapa, artystę i miejscowego hulakę. Rutger namalował freski, zniknął z Emerald Gap i potem stał się sławnym malarzem w Europie. Burly Jones, który zlecił mu pracę, był wtedy bardzo zadowolony z siebie. Od tamtej pory, ilekroć ktoś robił coś niezrozumiałego, co okazywało się w końcu wartościowe, mówiono o tym „pociągnięcie Burly'ego”.

Juliet przypominała sobie historię fresków, aby nie

myśleć o kończącym się festiwalu. Właśnie wtedy znalazła ją Andrea Oakleaf.

- Ach, tu jesteś, Juliet. Nareszcie przywiozłaś kasetki i bilety. - Wzięła od niej pakunki i zwróciła się do Revy Reid: - Hej, Reva, mogłabyś zatroszczyć się o to?

Reva, ubrana w suknię raczej z lat trzydziestych niż z czasów gorączki złota, mruknęła:

- Oczywiście.

Zabrała metalowe pudła i rolki biletów i zniknęła w głównej sali.

Andrea wzięła Juliet za rękę.

- Zaczekaj chwilę. - Cofnęła się o krok i obrzuciła ją spojrzeniem. - Niech no zgadnę. Mam! Generał Grant?

Juliet jęknęła. Zastanawiała się, czy generał Grant miał coś wspólnego z gorączką złota, o czym mogła zapomnieć.

- Lotta Crabtree. Dobosz - poprawiła Andreeę.

- Na razie zostawiłam bębenek w samochodzie.

Andrea, przebrana za kolonistkę, w berecie i muslinowym fartuszk, potrząsnęła głową.

- Widać więc, że nawet wychowawczynie przedszkolne nie wiedzą wszystkiego. A teraz chodźmy. Muszę ci pokazać, co zrobiliśmy.

Szeleszcząc spódnicą, Andrea rzuciła się do podwójnych drzwi i otworzyła je. Juliet zajrzała do sali. Reva Reid ustawiała akurat stoliki przy wejściu. Uniosła głowę i mrugnęła. Juliet uśmiechnęła się, patrząc z podziwem na dekoracje.

Z sufitu zwieszała się złota folia, skrecona w spirale. Podświetlały ją reflektory, ukryte w kątach sali. Pośrodku zawieszony był samorodek złota, wykonany z tektury.

Od wejścia do podium dla orkiestry ciągnęła się dolina ze sztucznymi kamieniami, plastikowymi krzakami i prawdziwymi drzewkami. Strumień z po-



gniecionej folii aluminiowej okrążał pianino i mikrofon. W świetle reflektorów wyglądał jak prawdziwy. Opadał na parkiet po lewej stronie i tam dość nagle kończył się.

Z jednej strony podium stał pożyczony zestaw stereo. Burt Pandley miał go włączać w czasie przerw dla orkiestry. Znał się doskonale na muzyce, gdyż kiedyś pracował w Auburn jako dyskdżokej.

Bar, urządony przez restaurację „McIntyre”, znajdował się po drugiej stronie podium. Archie Kent, w białej koszuli, muszce i czerwonych szelkach, przygotowywał się do otwarcia.

Juliet westchnęła. Doszła do wniosku, że całość wygląda wspaniale. Szczególnie miło prezentowały się małe, mosiężne lampki, umieszczone na każdym stoliku.

- Wspaniała robota - powiedziała do Andrei, Revy i wszystkich znajdujących się w pobliżu.

Andrea skinęła głową.

- Zgadza się. Bardzo nam pomógł fakt, że nareszcie mamy odpowiedniego szefa.

Juliet uśmiechnęła się z wdzięcznością, a potem zerknęła na zegarek. Była za dziesięć ósma. Ponieważ bal miał się zacząć lada moment, należało oczekiwać przybycia gości. W tej samej chwili przypomniała sobie o bębenu.

- Wszystko gotowe?

Reva i Andrea przytaknęły, więc mogła ruszyć po niezbędny rekwizyt.

Słońce skryło się już za górami. Juliet wzięła bębenek, zamknęła drzwi samochodu i wtedy zobaczyła nadchodzącego obdartusa. Po chwili rozpoznała go: to był Cody. Wybuchnęła śmiechem. Żadne z nich nie mówiło drugiemu, jaki kostium przygotowało na bal. Oczywiście Cody, najprzystojniejszy mężczyzna w Emerald Gap, musiał przebrać się za włóczkę, jakich wielu było w okolicy w czasach gorączki złota.

Miał na sobie obszarpane kalesony, buty wyglądające tak, jakby wyciągnął je ze śmietnika, szeroki pas, a za nim sito i mały kilof. Kapelusz, zniszczony i podarty, miał szerokie, miękkie rondo, opadające na twarz, wysmarowaną sadzą. Cody wyglądał tak, jakby dawno się nie golił. Podeszedł bliżej, uśmiechając się szeroko i wtedy Juliet zauważyła, że przyciemnił sobie kilka zębów.

- Och, Cody...

- Pocałuj mnie, kobieto - zażądał, chwytając ją w ramiona i pochylając się nad nią.

- Puść mnie, hultaju. - Chichocząc udawała, że się broni.

Jednak poszukiwacz złota nie przyjął odmowy do wiadomości. W końcu Juliet musiała dać mu całusa, choć Cody narzekał, że nie było to prawdziwe poddanie się, gdyż bez przerwy chichotała. Wokół rozległy się śmiechy i okrzyki zachęty; gościom przybywającym na bal podobało się widowisko.

Wreszcie Cody puścił ją i odsunął się nieco, chcąc obejrzeć jej kostium.

- Hmm. Żołnierz z fortu Suttera?

Fort Suttera w Sacramento znajdował się blisko miejsca, gdzie po raz pierwszy w Kalifornii odkryto złoto.

Zdegustowana Juliet chrząknęła i wyciągnęła ręce.

- Tak się składa, że patrzysz na jedną z ulubionych postaci Lotty Crabtree: dobosza.

Cody przyglądał się jej ze zdumieniem.

- Chyba w tym roku nie zdobędę medalu za najlepszy kostium - jęknęła.

- No wiesz, Julie... - Z zakłopotaniem podrapał się po głowie. Ujęła się pod boki.

- „No wiesz, Julie...” To wszystko, co masz do powiedzenia? Zdajesz sobie sprawę, ile wydałam na ten strój?

Wziął ją pod brodę.

- Uspokój się. Co z tego, że jesteś nie do rozpoznania? Wyglądasz fantastycznie. Najmilszy żołnierz, jakiego widziałem.

Zerknęła na swój kostium, a potem z powątpiewaniem na Cody'ego.

- No, już, przestań się dąsać. Jesteś organizatorem przyjęcia i nie powinnaś spodziewać się, że dostaniesz też wszystkie nagrody. To nie byłoby sprawiedliwe.

- Ja tylko chciałam... - Nie skończyła.

- Co takiego?

Wyglądać doskonale, żeby mieć piękne wspomnienia na resztę życia, pomyślała. Nie powiedziała tego głośno. Zabrzmiałoby to smutno, a ona nie chciała być smutna. Miała ochotę dobrze się bawić.

- O co chodzi, Julie? - spoglądał na nią z troską.

- O nic - odparła z ożywieniem.

- Julie, przecież...

Nie pozwoliła mu skończyć.

- Masz rację, nadałam się, a teraz mi przeszło. - Wzięła go pod rękę i uśmiechnęła się. - Wchodzimy do środka, proszę pana?

Przyjrzał się jej uważnie, a potem wzruszył ramionami i stwierdził:

- A pewnie, że tak, ty małe tygrysiątko.

Wprowadził ją do sali. Reva i Andrea przyjmowały w wejściu bilety, a orkiestra już zaczynała grać.

Choć nikt nie rozpoznał przebrania Juliet, przez pierwsze dwie godziny bawiła się wspaniale. Uderzała w bębenek i tupała, przyłączając się do tancerzy nawet wtedy, gdy nie znała kroków.

Ileć raz zaczynał się wolny taniec, chowała bębenek za stolik z biletami i ruszała na parkiet z Codym. W jego ramionach czuła się jak w niebie.

Dopiero po dziesiątej sprawy zaczęły się pogarszać.

Najpierw powstało zamieszanie w holu. Juliet poszła

sprawdzić, co się stało. Okazało się, że ktoś namalował czerwone wąsy na jednym z fresków. Burly Jones, siedemdziesięciolatek przebrany za przednią część muła, przy czym tylną był Evan McMulch II, stał pośrodku holu i wykrzykiwał z patosem:

- Zeszepecano bezcenny skarb!

Juliet z trudem przedarła się przez tłum gapiów do staruszka.

- Panie Jones...

- Daj mi spokój, dziewczyno. Stała się tragedia! Co się dzieje z naszym miastem, jeśli może zdarzyć się coś takiego? Pytam was, do czego doszliśmy?

Juliet wyczuła odór alkoholu w oddechu staruszka. Próbowła wziąć mężczyznę pod rękę.

- Panie Jones, może pomówimy o tym na osobności...

- Na osobności! Mówisz: na osobności! Nigdy nie będę cicho! Będę wykrzykiwać o tym z dachów! Zniszczono uświęcony skarb!

- Ależ, panie Jones, jesteśmy ubezpieczeni. Obiecuję, że wszystkie szkody będą pokryte.

Burly zwrócił przekrwione oczy w stronę Juliet i stwierdził:

- Mówisz o pieniądzach? Tutaj zniszczono sztukę; naszą historię, naszą przeszłość...

Juliet już chciała się poddać i pozwolić staruszkowi wykrzyczeć się do woli. Potem zerknęła w bok i zobaczyła Cody'ego. Uśmiechał się ironicznie, unosząc jedną brew, jakby pytał, czy potrzebuje pomocy. Zaprzeczyła ruchem głowy. Świadomość, że jest w pobliżu, wystarczała jej.

Tym razem stanowczo ujęła Burly'ego pod ramię i ruszyła w stronę biura. Szedł za nią, mruczając inwektywy. W końcu łaskawie wysłuchał argumentów Juliet. Oczywiście pieniądze nie mogły zastąpić bezcennego fresku, ale dzięki nim można było go odpowiednio odnowić.

Po załatwieniu tej sprawy Juliet wróciła na salę. Zadbała o to, aby przy freskach stanął na ochotnika strażnik.

Tuż przed jedenastą Burt Pandley ogłosił rozpoczęcie konkursu na najlepszy kostium. Andrea Oakleaf i Reva Reid, jak powiedział, były pierwszymi sędziami, gdyż widziały przebrania wszystkich gości przynajmniej raz. Teraz poprosił je o wejście na podium i podanie swych typów. Juliet nie miała nadziei na wygraną, ale mimo to chwyciła swój bębenek. Chciała być w pełnej gotowości na wypadek, gdyby jednak zdarzył się cud.

Nie zdarzył się. Mimo to Juliet nie zmartwiła się, zwłaszcza że Cody został jednym z finalistów. Dołączyła się do owacji publiczności. Cody wyglądał naprawdę śmiesznie w długich kalesonach i podartym kapeluszu.

Wreszcie na scenie zostały cztery kobiety, tyłuż mężczyzn i mistrz ceremonii, Burt. Reva i Andrea opuściły podium. Burt trzymał mikrofon nad głową każdego finalisty, osądzając sukces przebrania po sile owacji publiczności.

Cody przegrał tylko z Yardleyem Forbesem, który przebrał się za Marię Elenę. Miał na sobie kopię sukienki, jaką nosiła w sztuce Yolanda, i pętlę na szyi. Twarz pomalował niebieską farbą i wyglądał tak, jakby już został powieszony.

Wśród kobiet wygrała ruda piękność w stroju szansonistki. Juliet wydawało się, że skądś ją zna. Przypomniała sobie dopiero wtedy, gdy obca chwyciła Cody'ego, stojącego obok i pocałowała go.

Cody udał, że pocałunek oszołomił go i po chwili uśmiechnął się do rudej, pokazując swe czarne zęby. Juliet wiedziała, że robi to dla publiczności, jednak widok tego pocałunku sprawił jej ból.

Poczuła smutek. Była sobotnia noc, zostało niewiele czasu. Letnie Szaleństwo dobiegało końca, tak jak jej

kaprys. Jutro o tej porze ustalą z Codym, co będzie dalej.

Na scenie Burt przypinał rudej błękitną wstążeczkę. Kobieta rzuciła Cody'emu uwodzicielski uśmiech. Publiczność gwizdała i tupiała.

Ponure myśli o przyszłości sprawiły, że Juliet napłynęły łzy do oczu. Cody był wspaniały, miły i zawsze się o nią troszczył. Nie należał jednak do niej w taki sposób, jak tego pragnęła.

Potrafił obronić ją przed Billym Butleyem. Potrafił zachęcić ją do nurkowania. Był tak dobry, że nauczył ją sekretów namiętności i pożądania. Przez krótką chwilę mógł nawet pragnąć jej, zanim pojawi się ktoś piękniejszy i bardziej pewny siebie.

W rzeczywistości Juliet nigdy nie uda się zatrzymać przy sobie mężczyzny takiego jak Cody. Musiała się z tym pogodzić.

Z trudem powstrzymywała łzy. Wreszcie poprawiła paski bębena i ruszyła w stronę garderoby. Tam miała nadzieję znaleźć spokój.

Nie udało jej się. W połowie drogi zawróciła ją Andrea.

- Tu jesteś. Mamy kłopot.

- Och, Andrea... - Chciała wykręcić się, lecz pamiętała o obowiązkach organizatora. - O co chodzi?

Andrea pochyliła się i szepnęła:

- Kiedy byliśmy z Revą na podium, przy drzwiach została Meldal...

- Tak?

- I w jakiś sposób...

- Powiedz, co się stało?

Wreszcie Andrea zdobyła się na odwagę.

- Chyba ktoś ukradł jedną kasetkę.

- O Boże!

- To straszne, wiem.

- Ile pieniędzy tam było?

- Prawie połowa dzisiejszych wpływów i pięćdziesiąt dolarów drobnymi.

- Czy ktoś coś zauważył?

- Chyba nie. Melda stała przy jednej kasetce, więc poprosiła Evana McMulcha, żeby popilnował drugiej. On sporo wypił i wydaje się, że po prostu poszedł sobie. Kasa została bez opieki.

Juliet zastanowiła się. Jak na razie, bal przyniósł największy dochód i miał być ukoronowaniem dziesięciu dni zabawy.

- Posłuchaj, chyba lepiej stracić te pieniądze niż zepsuć bal, nie sądzisz?

- Tak, masz rację - zgodziła się Andrea.

- A więc niech kilkoro ludzi szuka, ale po cichu i bez zamieszania, dobrze?

- Bardzo rozsądnie - pochwaliła pomysł Andrea.

Nie udało się to. Zrozpaczona Melda zdążyła rozpowiedzieć o wydarzeniu innym. W tej chwili Burly Jones zaczął wykrzykiwać coś o kradzieży.

Juliet ruszyła w jego stronę, zdecydowana raz jeszcze poradzić sobie ze staruszką. Już brała go pod ramię i ciągnęła do biura, gdy od drzwi rozległ się okrzyk. Spojrzała i zobaczyła, jak Płaskonosy Jake szarpie Evana McMulcha II. Evan tulił do siebie kasę i żałośnie tłumaczył, że nie zrobił nic złego.

- Mój Boże - szepnął Burly. - To Evan jest winowajcą. Dokąd zmierzamy?

Juliet stanowczym ruchem zdjęła bębenek i podała go Burly'emu.

- Proszę to potrzymać - powiedziała.

Zaszokowała mężczyznę do tego stopnia, że po raz pierwszy zrobił to, o co go poproszono.

Około północy Juliet załagodziła spór. Okazało się, że gdy Melda poprosiła Evana o popilnowanie kasy, mężczyzna musiał wyjść za potrzebą. Zabrał ze sobą kasę, lecz w toalecie zrobiło mu się niedobrze.

Możliwe, że wypił za dużo whisky z lodem. Usiadł więc na koszu do śmieci i czekał, aż świat przestanie się kręcić. Gdy wreszcie wyszedł, został bezlitośnie zaatakowany przez Jake'a i oskarżony o popełnienie ohydnej zbrodni.

Juliet musiała ukoić zranioną dumę Evana i zapewnić Jake'a, iż mężczyzna zrobił to, co do niego należało. W końcu wszyscy zrozumieli, że nie było to nic więcej niż wielkie nieporozumienie.

Modląc się, aby nic już nie zakłóciło „doskonałego” wieczoru, Juliet wróciła na salę w chwili, gdy orkiestra zapraszała do ostatniego walca.

- Panowie, łapcie swoje panie. To ostatni taniec na balu Gorączki Złota, a następny będzie dopiero za rok...

Juliet nade wszystko pragnęła zatańczyć z Codym. Rozejrzała się po sali, szukając jego zniszczonego kapelusza. Ujrzeni się równocześnie i zaczęli przepychać przez tłum. Wyczekujący uśmiech mężczyzny ukoił nerwy Juliet. Może bal nie okazał się tak wspaniały, jak tego oczekiwała, ale ostatni walc z Codym miał jej wynagrodzić wszystkie kłopoty.

Nagle, nie wiadomo skąd, przed Codym pojawiła się ruda piękność i położyła mu rękę na ramieniu.

- Zatańczymy, przystojniaku?

Cody uśmiechnął się przepraszająco.

- Nie, proszę pani. Mam już partnerkę. - Usunął ramię.

Jednak zbyt wielu obcych widziało ich pocałunek na podium. Rozległy się porykiwania i przekleństwa.

- Zatańcz ostatni raz z damą, idioto!

- Nie odrzucaj takiej oferty!

- Człowieku, co z tobą? Zwariowałeś?

Cody znów grzecznie odmówił i ruszył w stronę Juliet. Jakiś mężczyzna żartobliwie przytrzymał go i po chwili dołączyli inni.



- Tańcz z damą! - żądali, posuwając się w żartach za daleko.

Cody zdenerwował się.

- Ludzie, puśćcie mnie, dobrze?

Juliet miała dosyć kłopotów. Postanowiła poddać się. Spojrzała na Cody'ego przepraszająco i powiedziała bezgłośnie:

- Tańcz z nią. Wszystko w porządku.

Jego oczy zwężyły się i znów powiedział:

- Nie.

- Proszę, zrób to.

Przyglądał się jej dłuży czas, a potem wzruszył ramionami.

- Dobrze.

Tłum puścił go. Ruda uśmiechnęła się. Cody wziął ją w ramiona i ruszyli na parkiet.

Juliet stała z boku, odprowadzając ich wzrokiem. Byli najpiękniejszą parą, choć Cody miał na sobie stare, porwane ubranie. Wyglądali jak stworzeni dla siebie.

- Podarujesz staremu Jake'owi ostatniego walca?

- zapytał z uśmiechem Płaskonosy Jake.

Odwzajemniła uśmiech i podążyła za nim na parkiet.

- To wszystko, kochani. Do zobaczenia w przyszłym roku - ogłosił członek orkiestry.

Rozległy się oklaski. Burt ogłosił przez mikrofon o pikniku zamykającym festyn i ostatnim przedstawieniu jutrzejszego wieczora. Zapalono światła.

Juliet rozejrzała się. Twarze ludzi wydały jej się zmęczone i sztuczne. Kilka drzewek na podium przewróciło się. Strumień z folii, pognieciony i porwany, wyglądał żałośnie. Serpentynty zdobiące sufit opadały w smutnych zwojach.

Bal Gorączki Złota skończył się. Tłum powoli ruszył do wyjścia.

Jake cmoknął Juliet w policzek, mruknął coś

o wystarczającym porządku, aby można było iść, i zniknąć.

Zdezorientowana Juliet zastanawiała się, co jeszcze należy zrobić. Kasami miała zaopiekować się Babe Allen, która w tym roku pełniła funkcję skarbnika. Salę zamykał Jake, a uporządkowania wszystkiego podjęli się ochotnicy.

Bębenek. O, właśnie. Musiała zabrać bębenek od Burly Jonesa. Obróciła się i zderzyła z Codym.

- Hej, coś podobnego, i ty tutaj? - zaśmiał się.

Nie wiadomo z jakiego powodu Juliet zachciało się płakać. Spuściła wzrok, usiłując kontrolować swe emocje.

- Julie? - Cody potrząsnął ją za ramię. - Julie, co cię martwi?

- Nic, naprawdę. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem i usunęła ramię. - Muszę znaleźć swój bębenek. Burly go ma.

- Julie, zaczekaj...

Odchodząc, krzyknęła do niego przez ramię:

- Spotkamy się przy moim samochodzie za piętnaście minut, dobrze?

Nie usłyszała odpowiedzi i nie dbała o nią. Marzyła tylko o odrobinie czasu, aby uporządkować swoje emocje. Później wszystko będzie dobrze, była tego pewna. Czekala ich ostatnia, piękna noc. Ostatnie wspomnienie, na resztę życia.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Słuchaj, Julie, mam tego dosyć. Co się, u diabła, dzieje?

Właśnie przyjechali do domu i stali w holu u podnóża schodów. Minęła druga w nocy.

Wracali samochodem Juliet. W czasie jazdy ciszę zakłócał tylko głuchy dźwięk silnika. Choć Juliet usiłowała zapomnieć o smutku, nie udało się jej. Ciągle miała przed oczyma Cody'ego i rudą piękność, tańczących ostatniego walca. Wzbierała w niej zazdrość, choć wiedziała doskonale, że Cody nie zachęcał kobiety. To raczej ona sama przyczyniła się do tego. Cody niechętnie zapatrywał się na ten projekt; chciał tańczyć z Juliet. Ona jednak odrzuciła go. Pod pretekstem unikania kłopotów pchnęła go w ramiona innej.

Ostatnio sama nie rozumiała własnych poczynań. Miała wrażenie, że rozsypuje się. Jej pewność siebie wyglądała teraz jak fałszywa skorupa. Gdy pękała, ujawniała dawną, zastraszoną Juliet.

- Julie, odezwij się do mnie.

Wpatrywała się w swe czarne oficerki i milczała.

- Cholera, spójrz na mnie.

Zmusiła się do popatrzenia mu w oczy.

- Cody, ja... nie mogę teraz o tym rozmawiać. Sama tego nie rozumiem. Proszę... - Nie skończyła. Nie wiedziała, o co prosi.

Cierpliwość Cody'ego skończyła się.

- Świetnie. Wspaniale. - Z rozmachem rzucił kapelusz do pokoju. - Najpierw nie chcesz ze mną

rozmawiać do niedzieli. Teraz mówisz, że nie możesz rozmawiać. Zupełnie tego nie pojmuję.

Potrząsnął głową, westchnął i wszedł do pokoju. Opadł na sofę. Juliet została w holu. Spoglądała na mężczyznę z przygnębieniem. Po chwili i on zerknął na nią.

- Masz zamiar stać tam całą noc?

Weszła do pokoju. Obrzucił ją zniecierpliwionym spojrzeniem.

- Siadaj.

Opadła na krzesło. Cody czekał na jej słowa, lecz w końcu odezwał się pierwszy:

- Dlaczego snułaś się smutna cały wieczór i wyglądałaś tak, jakbyś lada moment miała się rozpłakać? Dlaczego potem uśmiechałaś się i mówiłaś, że nic się nie stało?

- Och, Cody...

- Dlaczego?

- Nie wiem.

- To nie wystarczy. Powiedz mi, co jest nie tak.

Odpowiedź nie była potrzebna. Powtarzałyby tylko to, co mówiła mu wcześniej.

- W takim razie odpowiedz na inne pytanie - spróbował. - Dlaczego, u diabła, wepchnęłaś mnie w ramiona tej rudej? Chciałaś dać mi coś do zrozumienia, prawda?

Udało jej się wyjąkać:

- Pomyślałam, że tak będzie lepiej, że unikniemy kłopotów.

Było to tchórzliwe kłamstwo. Poczowała wstyd.

- Dlaczego lepiej? - domagał się. - Lepiej, jeśli zatańczę z kobietą, której wcale nie znam?

- Nie, oczywiście, że nie.

- W takim razie co?

- Och, Cody...

- Odpowiedz.

- Cody, to był tylko taniec.

- Tylko taniec - powtórzył z drwiną. - Pragnęłaś tego tańca, a przynajmniej patrzyłaś na mnie tak, jakbyś go pragnęła. Czyżbym się pomylił?

- Dobrze, pragnęłam tego tańca. Ale dziś wieczorem... mieliśmy tyle kłopotów. Wąsy na fresku, Evan McMulch i kasa. Nie chciałam więcej problemów.

- Chciałem z tobą tańczyć i ty też chciałaś ze mną tańczyć. Powinnaś tylko dać krok do przodu i ci wszyscy głupcy zostawiliby mnie w spokoju. Tymczasem ty wycofałaś się. Dlaczego to zrobiłaś?

- Wstał i pochylił się nad nią. - Odpowiedz: dlaczego?

- Po prostu... - Spojrzała na niego z żalem.

W długich kałesonach i z przyciemnionymi zębami powinien wyglądać śmiesznie, ale nie wyglądał. Był przystojny, o wiele za przystojny jak dla niej.

- Proszę, nie teraz.

- A więc kiedy?

- Jutro wieczorem.

- Och - stwierdził z sarkazmem. - W porządku, jutro wieczorem. Wreszcie nadejdzie noc, kiedy ze mną porozmawiasz.

- Zgodziliśmy się...

Zaklął pod nosem.

- My nic nie uzgadnialiśmy. To ty ustaliłaś, jak będzie, a kiedy nalegałem, zmieniałaś temat albo nagle musiałaś gdzieś iść.

Juliet spojrzała na niego, uświadamiając sobie ze wstydem, że ma rację. Wiedziała dokładnie, co powinna teraz zrobić: wyznać mu szczerze swą miłość i lęk przed jego utratą.

- Cody... - zaczęła, zdecydowana powiedzieć prawdę. Po policzku spłynęła jej łza.

- Cholera, Julie - mruknął i delikatnie wytarł jej twarz.

- Och, Cody, ja... - Umilkła, szukając właściwych słów.

I wtedy zobaczyła w jego twarzy czułość. Widok jej też sprawił, że zapomniał o celu rozmowy. Teraz miała wybór: mogła powierzyć mu tajemnice swego serca lub wykorzystać tę ostatnią noc. Wstała i wyciągnęła do niego ręce.

- Proszę, Cody, przytul mnie.

Westchnął, objął ją i pochylił się, aby złożyć pocałunek na jej wargach. Zareagowała entuzjastycznie, z całym żarem i tęsknotą. W końcu Cody wziął ją na ręce i ruszył po schodach do swej sypialni.

Tam błyskawicznie rozebrał ją z munduru i zrzucił własne ubranie. Padli na łóżko i kochali się z zapamiętaniem. Potem leżeli przytuleni. Juliet pocierała wilgotny policzek o ramię mężczyzny, całowała go i próbowała nie myśleć o swym tchórzostwie. Wybrała swój kaprys, ostatnią noc namiętności, zamiast szczerzej prawdy.

Ranek nadszedł zbyt szybko. Juliet obudziła się. Leżała w łóżku sama. Zdziwiona, zawołała Cody'ego. Nie usłyszała odpowiedzi. Włożywszy jego szlafrok, ruszyła na poszukiwania. Dom był pusty.

Poczuła lęk. Czyżby stało się coś złego?

Wróciła do sypialni i ubrała się w swój pomięty mundur. Na ganku przed domem siedział pies.

Bud Southey, dozorca, pracował przy basenie. Pomyślała, że może on coś wie. Zawołała go. Bud podszedł.

- Tak, proszę pani - powiedział, gdy zapytała go, czy wie, dokąd udał się Cody. - Wyszedł jakieś pół godziny temu. Powiedział, że zdecydował się jechać do miasta sam., Wziął starą półciągarówkę.

Dopiero po chwili ta informacja dotarła do Juliet.

- Ale dlaczego? - zapytała.

Bud wzruszył ramionami.

- Proszę pani, ja tu nie jestem od zadawania pytań  
- stwierdził grzecznie, lecz stanowczo.

- Och - rzuciła czując, że czerwieni się. Bud zawsze był skryty. Na pewno nie obchodziło go prywatne życie jego pracodawcy. - Tak, oczywiście. Rozumiem. Dziękuję, Bud.

- Nie ma za co, proszę pani. - Grzecznie ukłonił się jej i wrócił do oczyszczania basenu.

Przez chwilę Juliet bezmyślnie gładziła grzbiet psa, walcząc z narastającym niepokojem. Może coś się stało w restauracji czy sklepie, na przykład włamanie. Ale gdyby dzwonił telefon, z pewnością by go usłyszała.

W końcu doszła do wniosku, że stojąc na ganku nic mądrego nie wymyśli. Poszukała swych kluczyków do samochodu.

W domu wykąpała się, przebrała i zrobiła makijaż. Przygotowała sobie śniadanie. Czekał ją ciężki dzień, a w nocy niewiele spała.

Pijąc drugi kubek kawy zerknęła na zegarek. Dziewiąta. Za pół godziny powinna być w parku Pine Grove. Co prawda piknik przygotowywała Andrea, ale Juliet miała nadzorować całość.

Tylko co z Codym? Musiała z nim porozmawiać, dowiedzieć się, co się stało i dlaczego zostawił ją samą, nie informując o niczym. Podniosła słuchawkę i wykręciła numer sklepu z towarami żelaznymi. Odezwała się automatyczna sekretarka.

- Cody - powiedziała Juliet. - Cody, jesteś tam? To ja, Juliet...

Poczuła się głupio. Na pewno jutro rano jej wiadomość usłyszy ekspedientka i zauważy w jej głosie zawód i zmieszanie. Odchrząknęła i dodała miękko:

- Proszę, zadzwoń do mnie.

Potem odłożyła słuchawkę. Zaraz też wykręciła numer restauracji, lecz tym razem zaplanowała sobie, co powie.

- Cody, tu Juliet. Muszę z tobą pomówić. Chyba będę miała chwilę czasu po sprawdzeniu, jak idą przygotowania do pikniku. Jeśli odbierzesz tę wiadomość, czy mógłbyś po prostu zostać tam i poczekać na mnie?

Cody siedział w biurze. Słyszając głos Juliet, jęknął. Po chwili w maszynie odezwał się brzęczyk i taśma przewinęła się do początku. Mężczyzna popatrywał na swoje buty. Na biurku stygła nie tknięta kawa.

Cody rzadko wpadał we wściekłość, ale tym razem był naprawdę wściekły - na Juliet Huddleston.

Obudził się nieco po siódmej. Śpiąca Juliet wyglądała niewinnie jak dziecko. Odgarnął jej włosy z twarzy i lekko pocałował. Uśmiechnęła się i poruszyła, lecz nie otworzyła oczu. Leżąc przy niej myślał o wypełnionej miłością nocy i znów poczuł podniecenie.

A potem przypomniał sobie, jak do tego doszło. Błagał ją o rozmowę, a ona wykręciła się tak jak zwykle. Nawet rozpłakała się, aby go rozczulić. Potem objęła go, zaczęła całować i w rezultacie nie dowiedział się, co ją dręczy.

Dlatego wyszedł rano bez słowa. Potrzebował chwili samotności. Chciał podjąć decyzję, co ma zrobić.

W porządku, może był gruboskórnym idiotą. Może powinien rozumieć, co się z nią dzieje, choć nie chciała mu tego wyjaśnić. Może zeszłej nocy nie należało wywierać na nią takiego nacisku.

Chwycił kubek z kawą, uniósł go do ust i po chwili odstawił, nie pijąc. Wpatrzył się w drzwi niewidzącym wzrokiem.

Może rano powinien był obudzić ją pocałunkiem, przytulić i raz jeszcze błagać o wyjaśnienia. Tyle, że był już cholernie zmęczony błaganiami. Nie miał ochoty czuć wyrzutów sumienia. Po diabła zresztą miał z niej cokolwiek wyciągać, jeśli doskonale wiedział, co ją



trapi, choć nie przyznawał się do tego nawet przed sobą?

Tak, wiedział, o co chodzi. Musiał wreszcie spojrzeć prawdzie w oczy. Tej nocy Julie chciała... zerwać.

Był tego pewny. Czy pchnęłaby go w ramiona innej kobiety, gdyby nie próbowała pozbyć się go w ten sposób? Fakt przygnębiający, lecz prawdziwy. To dlatego Juliet była smutna i zagubiona na balu. Wiedziała, co chce zrobić i bała się, że go zrani. Zawsze taka była. Nikogo nie chciała zranić, nawet mężczyzny, którego zamierzała się pozbyć.

Był na nią wściekły. Spełniła swój kaprys, tak jak chciała, a teraz zamierzała powrócić do normalnego życia.

Wiedział już, że zaplanowała rozstanie. Pewnie uznała, że okazując, jak cierpi, jakoś to załagodzi. Liczyła na fakt, iż widząc jej ból zapomni o tym, kto tu jest porzucany.

Dobry, stary Cody, pomyślał gniewnie. Dżentelmen do końca. Oczywiście, zawsze był delikatny w stosunku do kobiet. Julie znała go całe życie i dlatego spodziewała się po nim odpowiedniego zachowania.

Ale teraz, z nią, było inaczej. Cody położył nogi na biurku i znów spojrzał na swoje buty. Postanowił zrobić jej niespodziankę. Nie miał zamiaru czekać biernie na cios.

Nie miał też zamiaru czekać na nią w biurze. Niech spróbuje, jak smakuje jej własne lekarstwo. Niech szuka okazji do porozmawiania i zobaczy, jak on potrafi być bardzo zajęty...

W parku Pine Grove piętrzyły się kłopoty. Gdy Juliet przyjechała, Andrea rzuciła się w jej stronę.

- Juliet, nareszcie. Już myślałam, że nigdy tu nie dotrzesz.

Juliet zamknęła drzwi samochodu i pomyślała ponuro, że jej plany spotkania z Codym mogą spalić na panewce.

- Coś jest nie tak?

- Wszystko. Z mojej siedmioosobowej załogi tylko czwórka stawiła się na czas. Edny Coombes jeszcze nie ma, a miała przynieść składane stoły. Poza tym, znasz kuzyna Meldy z Roseville?

- Naszego profesjonalnego licytatora na aukcję ciasta?

- Właśnie jego. Wycofał się.

- Och, nie.

- Och, tak. Właśnie przyszła Melda i powiedziała mi to. Biedactwo, czuje się okropnie. Najpierw Evans zniknął gdzieś z kasą, której ona miała pilnować, a teraz jej kuzyn wycofał się. Jest bliska płaczu i przysięga, że na jej kuzynie nigdy nie można było polegać. Szkoda, że nie powiedziała nam tego wcześniej, ale nic jej nie wypominałam. I tak wygląda na upokorzoną.

- Rozumiem - stwierdziła Juliet. - Coś jeszcze?

- Ciągłe czekamy na darowane nam mięso i bułki od Steermana.

- I?

- Papierowe naczynia. Brykiety węgla drzewnego.

- Czy cokolwiek przybyło na czas?

Andrea westchnęła.

- Mamy już obrusy. Szkoda, że nie ma ich na czym położyć.

- Dobrze - powiedziała Juliet. - Ile jest samochodów?

Andrea szybko policzyła i wkrótce każdy otrzymał zlecenie do wypełnienia.

Juliet pojechała osobiście do Steermana, żeby sprawdzić, co się stało z mięsem i bułkami. Zastępca upierał się, że nic nie wie o darowiznie. Trzeba było

zadzwoić do kierownika. Gdy zastępca odkładał słuchawkę, miał bardzo czerwoną twarz.

Natychmiast załadowano furgonetkę bułkami, hot-dogami i hamburgerami i zawieziono wszystko do parku Pine Grove.

W tym czasie pojawiły się już stoły i załoga Andrei nakrywała je. Juliet pomagała wszędzie, gdzie mogła, gdy nagle przyszło jej do głowy, że Burt Pandley, jako doświadczony dyskdzokej, może być doskonałym licytатorem.

Wskoczyła do samochodu i podjechała do budki telefonicznej. Burt zazwyczaj wstawał późno, więc wyciągnęła go z łóżka. Na szczęście od razu oprzytomniał, gdy poprosiła go o pomoc.

- Jasne, z przyjemnością. Będę tam za godzinę.

Juliet zerknęła na zegarek. Było wpół do dwunastej, aukcja miała się zacząć o pierwszej. Pomyślała, że czasu jest mało, ale lepsze to niż nic. Podziękowała Burtowi i pożegnała się.

Natychmiast przypomniała sobie Cody'ego i jego poranne wyjście bez słowa. Ponieważ stała przy telefonie, zadzwoniła jeszcze raz do sklepu, restauracji i na farmę, ale nikt nie odbierał.

Doszła do wniosku, że zrobiła, co mogła. Teraz musiała wracać na piknik. Postanowiła znaleźć później nieco czasu, wytopić Cody'ego i w końcu przeprowadzić rozmowę.

Jednak Cody zaskoczył ją. Był w parku. Ubrany w biały fartuch, smażył właśnie pierwszą porcję hamburgerów i hot-dogów.

Podeszła do niego z wahaniem.

- Cody...

Spojrzał na nią i poczuła, jak coś w niej topnieje.

- Tak?

- Ja...

- Słucham?
- Dokąd pojechałeś?
- Kiedy?
- Dziś rano.
- Prosiłem Buda, żeby ci powiedział.
- Do miasta?
- Słusznie. - Znow odwrócił się do grilla.

Przez chwilę obserwowała jego profil, zastanawiając się, co robić. Był wyjątkowo małomówny i jakoś nie przejawiał zainteresowania rozmową.

- Ale, Cody... - spróbowała jeszcze raz.
- Tak?

Rozejrzała się i zobaczyła więcej ochotników smażących hamburgery, nakryte stoły i ludzi, tłoczących się w kolejce. Zrozumiała, że to nie jest czas ani miejsce na rozmowę.

- Kiedy to się skończy - zaczęła - czy moglibyśmy porozmawiać?

Przewrócił hamburgera na drugą stronę i położył na brzegu grilla kilka bułek, aby się podgrzały. Po dłuższej chwili powiedział:

- Co o tych sądzisz? Są gotowe? - Wskazał łopatką parę hamburgerów.

- Tak. Słyszałeś, o co pytałam?

Rzucił jej krótkie spojrzenie i znow odwrócił się do grilla.

- O co ci teraz chodzi?

- Chcę porozmawiać. Może po aukcji ciasta albo trochę później... - Urwała, jak to miała dawniej w zwyczaju.

Spojrzał na nią i potem na hamburgery.

- Chcesz porozmawiać?
- Tak - oświadczyła bardziej stanowczym głosem.
- Tak, chcę.
- Dobrze, Julie, porozmawiamy.
- Kiedy?

- Kiedy będę miał czas. - Wskazał grill. - Teraz jestem zajęty.

- Wiem, ale...

Nie skończyła, gdyż pojawiła się Babe Allen i chwyciła ją za rękę.

- Juliet, Andrea mówiła mi, że tu był cyrk, dopóki ty nie zajęłaś się wszystkim. Co za szczęście, że cię mamy. A teraz chodź ze mną i rzuć okiem na te sałatki...

Posłusznie ruszyła do stołów, gdzie połowa mieszkanki miasta wystawiała swe wyroby. Zaraz potem dowiedziała się, że wrócił reporter *Sacramento Bee* i chce napisać artykuł o ostatnim dniu festynu. Odpowiadała na jego pytania z wymuszonym uśmiechem, a potem przekazała go Jake'owi, który miał dopilnować, żeby gość dobrze się bawił.

Nadeszła pierwsza. Na podium znalazł się Burt Pandley. Licytował ciasta, opowiadał stare dowcipy i był wspaniały. Wielu ludzi twierdziło, że przewyższa nawet profesjonalistę. Usłyszała to Melda, rozpłakała się i uciekła w zarośla.

Andrea szepnęła do Juliet:

- Idź i porozmawiaj z nią. Zrobisz to lepiej niż ktokolwiek inny.

Juliet ruszyła za Meldą. Kobieta płakała na jej ramieniu, twierdząc, że dwukrotnie omal nie zepsuła festynu. Uspokoiła się dopiero wtedy, gdy Juliet przypomniła sukces, jaki odniosła jej sztuka o Marii Elenie i że wszystko skończyło się dobrze. W końcu Melda zgodziła się wrócić. Andrea dała jej talerz i sztucce i kazała ustawić się w kolejce po jedzenie.

Potem wszystko szło gładko. Juliet rozglądała się za Codym, ale on gdzieś zniknął. Zobaczyła go nieco później, jak rzucał podkowami do celu z Evanem McMulchem i Burly Jonesem. Podeszła do niego i poprosiła cicho o chwilę rozmowy.

Burly rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie.

- Nie denerwuj go, dziewczyno. Ta gra musi dobiec końca.

Cody uśmiechnął się lekko.

- Przepraszam, Julie. Teraz nie mam jeszcze czasu.

Tak było przez cały dzień. Albo Cody akurat coś robił, albo nie było go w zasięgu wzroku. Juliet czuła się zawiedziona, ale to nie pomagało. Cody pozostawał nieuchwytny. Zaczynała uważać, że sposób, w jaki jej unika, może znaczyć tylko jedno: między nimi wszystko się skończyło. Zawsze wiedziała, że do tego dojdzie.

Wieczorem, w domu, ubierała się przed wyjściem na ostatnie przedstawienie rewii. Miała ochotę nałożyć raczej piżamę, położyć się do łóżka, naciągnąć kołdrę na głowę i płakać przez cały tydzień.

Niestety, było to niemożliwe. Miała obowiązki do wypełnienia.

Przygotowała swoją czerwoną sukienkę bez ramiączek i odpowiednie kolorem bolerko. Włożyła czerwone szpilki, o których Cody wyrażał się tak niepochlebnie tamtej nocy, gdy wiozł ją do domu, zanim stali się kochankami. Wydawało się, że było to tak dawno temu.

W sali rady miejskiej, przed podniesieniem kurtyny, wygłosiła jeszcze ostatnią przemowę do trupy. Cody stał z tyłu, chmurny i milczący. Juliet usiłowała nie patrzeć na niego, gdyż sam widok sprawiał jej ból.

Rewia udała się wspaniale. Yolanda była w znakomitej formie. Po ostatniej scenie na widowni nie było ani jednego suchego oka.

Jak zwykle, publiczność oszalała z radości, słysząc pierwszą piosenkę Cody'ego. Juliet stanęła z boku i wysłuchiwała jej. Jednak gdy rozległy się pierwsze taktory smutnej ballady, wymknęła się do holu i rozpłakała się.

Wróciła do sali, gdy orkiestra zaczęła grać ostatni

numer. Potem była owacja na stojąco i nie kończące się wywoływanie artystów. Na koniec wstała Babe Allen i podziękowała wszystkim, którzy przyczynili się choćby w małym stopniu do przygotowania festiwalu.

- Jest jeszcze jedna, szczególna osoba - ogłosiła - bez której tegoroczny festyn nie byłby takim sukcesem. Prosimy ją o kilka słów... Juliet, podejdź tutaj!

Juliet zauważyła ludzi rozglądających się po sali. Szukali jej. O tej chwili marzyła zawsze - docenienie dobrze wykonanej pracy. Powinna być szczęśliwa.

Zamiast tego czuła wyczerpanie i osłabienie. Bardzo potrzebowała snu. Letnie Szaleństwo dobiegło końca, tak jak jej romans z Codym. Nie chciała wchodzić na podium i dziękować tym wszystkim ludziom. Nade wszystko pragnęła iść do domu.

Reva Reid, stojąca przy drzwiach, szturchnęła ją i ponagliła:

- Juliet, rusz się...

- Juliet! - zawołała Babe, machając do niej ręką.  
- Chodź tu!

Reva pchnęła ją delikatnie. Juliet bezmyślnie ruszyła przejściem. Wszyscy patrzyli na nią. Chwiejąc się nieco na wysokich obcasach, weszła na podium i otworzyła usta.

- Dziękuję - wykrztusiła.

Kilka osób zaklaskało, dodając jej odwagi.

Krótką mowa nabrała kształtu w jej umyśle, więc powiedziała:

- To było wyzywające, podniecające, nagradzające, a przede wszystkim zabawne. Chciałabym, aby trwało wiecznie, ale, jak wiadomo, wszystko musi się skończyć. Będę czekać z niecierpliwością na przyszły rok, kiedy znów będziemy mogli to zorganizować!

Tyle wystarczyło. Publiczność raz jeszcze nagrodziła ją oklaskami.

Poczuła ulgę, zdziwiona własną siłą. Niedawno obawiała się, że przeżyje najgorszy koszmar, trapiący ją od dawna. Wydawało jej się, że nagle utraci zdolności, nad którymi tyle pracowała i że nie będzie w stanie przemawiać przed zgromadzeniem. Na szczęście stało się inaczej.

Ukłoniła się z wdziękiem i zeszła z podium. Odsunięto kurtynę i wszyscy artyści pojawili się na scenie po raz ostatni. Juliet stała z boku, klaszcząc razem z publicznością.

I to był prawdziwy koniec. Jeszcze tylko pożegnała się z aktorami i podziękowała im. Cody znów stanął z tyłu. Jego twarz była chłodna i bez wyrazu. Wystarczył jeden rzut oka i Juliet wszystko zrozumiała: tej nocy rozmowa nie dojdzie do skutku. To już koniec.

- Dziękuję wam za wszystko. Zapraszam do współpracy w przyszłym roku - zakończyła.

- Zaczekaj, Juliet - odezwał się od drzwi Płaskonosy Jake.

Głos przyjaciela natychmiast poprawił jej humor. Uśmiechnęła się.

- O co chodzi, Jake?

- Chciałem zaprosić wszystkich do siebie. Robię pożegnalne przyjęcie.

W trupie rozległ się szmer podniecenia. Jake zaczął rozdawać mapki z zaznaczonym dojazdem do swojej chatki w lesie.

Juliet marzyła o powrocie do domu, lecz każdy namawiał ją, aby zaszczyciła przyjęcie swą obecnością. W końcu Jake złapał ją za ramię i nalegał tak bardzo, że zgodziła się, choć padała ze zmęczenia.

Zwykle zamykanie sali należało do obowiązków Jake'a, ale tym razem poprosił, żeby zrobiła to Juliet. Sam chciał pojechać wcześniej do domu i przygotować przyjęcie. Juliet wyraziła zgodę i gdy opuszczała salę, nikogo już nie było.



Spodziewała się długiej, samotnej jazdy, lecz myliła się. Gdy wyjeżdżała z parkingu, zobaczyła z tyłu półciężarówkę Cody'ego.

Poczuła zmęczenie i zawód. Nie chciał z nią porozmawiać, odsuwał się, gdy podchodziła do niego, a teraz zamierzał jechać za nią aż do chatki Jake'a. O co mu chodziło? Czyżby był bez serca?

Miała ochotę utrzyć mu nosa. Ciekawe, co by zrobił, gdyby zatrzymała się, wysiadła z samochodu, podeszła do niego i domagała się wyjaśnień, czego chce. Jednak nie zrobiła tego. Mógłby odpowiedzieć, że przecież autostrada nie jest jej własnością, i jak by wtedy wyglądała? Nie; już lepiej ignorować go.

Juliet włączyła magnetofon i zaczęła podśpiewywać do wtóru tak głośno, że gdy skręcała na drogę wiodącą do chaty Jake'a, paliło ją gardło.

Teraz wjechała w las. Gdziekolwiek drzewa rosły tak gęsto, że między gałęziami nie było widać nieba. Tylko reflektory samochodu Cody'ego świadczyły o tym, że nie została zupełnie sama. Myśl o nim wywołała nową falę żalu. Znajdował się tuż za nią, a jednak równie dobrze mógłby być na innej planecie, tak bardzo oddalili się od siebie.

Podkreśliła magnetofon i zaczęła śpiewać jeszcze głośniej.

Dojeżdżając do rozdroża zwolniła, rozglądając się za miejscem, gdzie według mapki powinna skręcić. Robiła to jeszcze kilka razy i za każdym razem Cody zbliżał się na niebezpieczną odległość. Nawet zatrafił na nią, dając jej do zrozumienia, że jedzie źle, ale co innego mogła zrobić? Poprzez łzy zaledwie rozróżniała małe, drewniane znaki.

Nagle z silnikiem stało się coś strasznego. Usłyszała to pomimo ryku magnetofonu. Rozległy się jakieś dziwne chrzęsty, a potem głośne chrupnięcie.

Samochód zatrzymał się pośrodku drogi. Cody

zjechał na lewą stronę, wymijając go. W ciszy słysząc było tylko piosenkę z magnetofonu o kobiecie, która miała nogi i wiedziała, jak ich używać. Po chwili Juliet wyciągnęła rękę i wyłączyła magnetofon.

Nagle spłynął na nią spokój. Pochyliła się na kierownicę i wpatrzyła przed siebie.

- Wrzuć luz - rozległ się głos Cody'ego.

Juliet powoli odwróciła głowę i spojrzała na niego. Miała mglistą nadzieję, że może stał się brzydki i jej serce nie oszaleje. Niestety, omyliła się. Wyglądał lepiej niż kiedykolwiek i jej serce znów zaczęło bić szybciej.

- Słyszałaś, co powiedziałem? - domagał się odpowiedzi.

- Nie. Myślę, że nie.

- Cholera, Julie - mruknął z rozdrażnieniem.

- Musimy ściągnąć ten samochód ze środka drogi. Tu nie jest bezpiecznie.

- Och. - Pomyślała, że brzmi to rozsądnie. - Tak, oczywiście.

- Wrzuć luz i łap się za kierownicę. Popchnę cię.

- Jasne - przytaknęła.

Wrzuciła luz i obdarzyła mężczyznę słabym uśmiechem.

- Dobrze - stwierdził, patrząc z niesmakiem. - Teraz kieruj.

Popchnął wóz i po chwili samochód znalazł się na poboczu, tuż przed półciężarówką. Juliet zaciągnęła ręczny hamulec.

- Otwórz maskę - zadysponował Cody.

Wykonała polecenie.

Zajrzał do środka, przyświecając sobie latarką. Potem zamknął pokrywę i podszedł do Julie.

- No i co? - spytała.

- Niedobrze.

- Jak bardzo niedobrze?

- Całkowicie. Spaliłaś silnik.
- Silnik?
- Tak. Prawdę mówiąc, naprawa będzie cię kosztować więcej, niż ten samochód jest wart.

Tego było już za wiele. Coś pękło w Juliet. Wiedziała, że to tylko samochód, ale dla niej reprezentował wszystkie zmiany, jakie zaszły w jej życiu. Kolejno, jedna po drugiej, obróciły się wniwecz.

Letnie Szaleństwo naprawdę dobiegło końca, zaczynała się szara rzeczywistość. Związek z Codym rozpadł się. Prawdopodobnie będzie musiała wyprowadzić się z letniego domku, wypadłoby też kupić nowy samochód, jakiś niezawodny, czterodrzwiowy. Najlepiej coś brązowego.

Cody stał z boku, więc nie mogła wysiąść. Odezwała się grzecznie:

- Przepraszam.

Rzucił jej zdziwione spojrzenie, ale odsunął się. Wsiadła z samochodu i zamknęła drzwi.

- Dziękuję - powiedziała - za pomoc w zepchnięciu samochodu na pobocze, za to, że zajrzałeś do silnika i w ogóle za wszystko.

- Julie? - przyjrzał się jej z niepokojem. - Julie, wszystko w porządku?

- Tak, naprawdę. Chcę wracać, to wszystko.
- Dokąd?
- Do domu, do miasta.

Patrzył na nią, jakby postradała zmysły. Czy miało to jakieś znaczenie? Nie musiała mówić z sensem; między nimi wszystko się skończyło. Machnęła ręką.

- Wracam, to wszystko. Po prostu wracam. - Wskazała nie oświetloną drogę. - Tędy.

Obróciła się z godnością i ruszyła autostradą, znikając w ciemnościach.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Cody patrzył za nią. Szła wyprostowana, z wysoko uniesioną głową. W szpilkach poruszała się cokolwiek sztywno.

- Julie! - zawołał po chwili, gdy już dotarła do niego absurdalność jej czynu. Czyżby planowała ponad piętnastokilometrowy spacer do miasta w kompletnych ciemnościach? Przecież to było szaleństwo! - Julie, zatrzymaj się!

Nawet nie zwolniła. Zbliżała się już do zakrętu.

- Julie!

Minęła zakręt.

Cody patrzył w kierunku, gdzie zniknęła jej szkarłatna sukienka. Dopiero teraz zrozumiał, że jego plan obrócił się przeciwko niemu. Poczłł wstyd.

Do diabła, nie miał pojęcia, jak radzić sobie z kobietami. Nigdy nie musiał tego robić. To one go ściagały, a on mówił „tak” tym, na które miał ochotę. Jeśli jakaś kobieta porzucała go, miał pewność, że bardzo szybko zjawi się następna.

Jednak wiedział, że już nigdy nie będzie drugiej Julie. Rozpaczliwie pragnął ją zatrzymać, a oto teraz szła sama w noc, odchodząc od niego.

Coś ją dręczyło. Tymczasem on, zamiast dowiedzieć się, o co chodzi, doszedł do wniosku, że go porzuca i potem znęcał się nad nią przez cały dzień.

Choć było ciemno, zauważył jej czerwone od płaczu oczy. Na pewno myślała, że go nie obchodzi. Nie mogła mylić się bardziej.

Musieli porozmawiać! Teraz, w tej chwili, tak jak

mu zawsze obiecywała. Najpierw jednak należało ją dogonić.

- Julie! - krzyknął jeszcze raz.

Potem zaczął biec w kierunku, gdzie zniknęła jej postać.

Juliet usłyszała jego kroki.

Fakt, że biegł za nią, wyrwał ją z odrętwienia. Do oczu znów napłynęły łzy.

- Julie, zaczekaj, proszę cię...

Doganiał ją. Łzy zaczęły płynąć jej po policzkach. Nie cierpiała tego. Nie chciała, aby widział ją zapłakaną.

Zupełnie bez sensu zaczęła biec, próbując uciec. Wysokie obcasy nie ułatwiały zadania.

- Julie, zaczekaj!

Obejrzała się i zobaczyła jego cień za swymi plecami. Zboczyła z drogi i wpadła między drzewa.

- Julie, zatrzymaj się!

Próbowała przyspieszyć, ale bez skutku. Załkała, potknęła się o korzeń i upadła. Usłyszała tylko głośny chrzęst w kostce i poczuła ostry ból. Leżąc na ziemi, usiłowała wyplątać nogę z korzenia. Uświadomiła sobie, że padając, uderzyła głową w pień drzewa.

- Julie?

Jak przez mgłę zobaczyła twarz Cody'ego. Opadł na kolana.

- Co się stało? Noga? - Sięgnął do jej kostki.

Wydała głośny jęk i mężczyzna odskoczył.

A potem krzyknęła tak, jak jeszcze nigdy w życiu na nikogo nie krzyczała:

- Wynoś się stąd! Zostaw mnie w spokoju! Już mi złamałeś serce! Czy to nie wystarczy?

W ciszy, jaka zapadła, słysząc było tylko ich oddechy. Juliet spróbowała wyprostować nogę i poczuła rozdzierający ból. Ucieszyło ją to. Dzięki niemu

mogła nie myśleć o niczym innym, absorbował całą jej uwagę i energię.

Cody spytał miękko:

- Możesz iść?

- Nie. - Zagryzła wargi. - Jestem pewna, że kostka jest złamana.

- W takim razie zaniosę cię.

Powoli zbliżył się, tak jakby nie chciał spłoszyć zwierzątką, i delikatnie wziął ją na ręce.

- Spokojnie, kochanie - szepnął, gdy jęknęła.

Juliet objęła go za szyję i ukryła twarz na jego ramieniu. Siła mężczyzny działała na nią kojąco. Cody ruszył w stronę półciężarówki.

W szpitalu zrobiono jej prześwietlenie i złożono nogę. Cody kręcił się cały czas przy niej i w końcu lekarze polecieli mu czekać w holu. Posłuchał z niechęcią, przypominając Julie, że będzie w pobliżu, jeśli będzie go potrzebowała.

Usiadł na oliwkowozielonej kozetce przy mężczyźnie, który wyglądał na przestraszonego i podskakiwał za każdym razem, gdy ktoś wychodził z głównej sali. Pomyślał, że koledzy będą się niepokoić, jeśli on i Juliet nie dojadą na przyjęcie. Zadzwoił więc do Jake'a i powiedział mu, że Juliet przewróciła się i złamała nogę w kostce.

Później siedział i czekał. Myślał o tym, co wykrzyczała do niego Juliet w lesie.

„Już mi złamałeś serce.” Właśnie tak powiedziała. Ale jak mógł to zrobić? Chyba że... kochała go.

Czy Julie go kochała?

Cody zerwał się z kozetki. Obcy mężczyzna również się poderwał, wydając okrzyk.

- Przepraszam - mruknął Cody.

- W porządku - odmruknął obcy i opadł na swe miejsce.

Cody zaczął krząć po pomieszczeniu. Mój Boże, myślał, czy Julie go kocha? Jeśli tak, to dlaczego przez ostatnich kilka dni snuła się ponura i smutna?

Może myślała, że on jej nie kocha...

Czy to możliwe? Czy mogła tak myśleć?

Do diabła, a czy on kochał Julie? Czy aż tyle dla niego znaczyła?

To było coś nowego. Cody nigdy nie zastanawiał się nad miłością.

Wydawało mu się, że Juliet stanowi jego część. Nie umiał wyobrazić sobie przebudzenia bez niej. Chciał zrobić wszystko, aby miała szczęśliwe życie; życie z nim.

Czy to była miłość?

Zatrzymał się naprzeciwko przestraszonego mężczyzny. Ten spojrzał na niego nieufnie.

- Dobrze się pan czuje?

- Tak. - Cody wpatrywał się w niego. Biedny człowiek, miał zaczerwienione oczy i zmierzwiłe włosy. - Co się panu stało?

- Moja żona tam jest. Rodzi nasze pierwsze dziecko. Ja zemdlałem i powiedzieli mi, że nie mogę zostać.

- To przykre - rzucił Cody współczująco. Ponieważ mężczyzna wpatrywał się w niego, zdecydował się zapytać go o coś. - Czy wie pan, co to jest miłość?

Mężczyzna przełknął ślinę.

- Nie mógł pan znaleźć łatwiejszego pytania, prawda?

W tej chwili w drzwiach pokazała się głowa pielęgniarki.

- Pan Hickleby?

Przyszły ojciec zerwał się z krzesła.

- Tak? Słucham? Czy ona dobrze się czuje?

- Pańska żona czuje się doskonale. Macie państwo zdrową dziewczynkę. Proszę za mną...

- O mój Boże, dziewczynka! Mam córeczkę! - Męż-

czyzna uściśniętą dłoń Cody'ego, promieniejąc radością.

- Evelyn czuje się dobrze.

- To świetnie - stwierdził Cody. - Gratulacje.

- Dziękuję. Muszę iść.

Uśmiechając się od ucha do ucha, pan Hickleby ruszył za pielęgniarką.

Cody czekał na Juliet, zastanawiając się, czym jest miłość.

Wreszcie wywieziono kobietę w fotelu na kółkach. Jej nogę zagipsowano od połowy łydki do czubków palców. Juliet była blada, lecz spokojna.

- Julie!

Obdarzyła go łagodnym uśmiechem.

- Och, Cody, jesteś tutaj. - Obróciła głowę i spojrzała na pielęgniarza, który popychał wózek. - To jest Cody - wyjaśniła. - Zawsze mnie bronił, od kiedy pamiętam. Ile razy mam kłopoty, pojawia się przy mnie. Już w dzieciństwie był moim bohaterem.

Cody zrozumiał, że Juliet dostała jakiś środek przeciwbólowy, który totalnie odmienił jej samopoczucie. Beztrąsko podpisała dokumenty, podsunięte jej przez recepcjonistkę, a potem Cody wskazał pielęgniarzowi drogę do samochodu.

Sam wniósł Juliet do środka, wypożyczył fotel i kule i zapakował wszystko do samochodu.

Przez całą drogę planował, co powie w domu. Chciał porozmawiać o miłości. Pragnął wyjaśnić Juliet, ile dla niego znaczy i opowiedzieć o pustce, jaka istniała w jego życiu, dopóki ona jej nie wypełniła.

Juliet, uśmiechając się łagodnie, wyglądała przez okno. Podśpiewywała piosenkę, której słuchała w swoim samochodzie przed wypadkiem.

Wjechali w bramę farmy. Cody zeszywniał. Przyszło mu do głowy, że Juliet może upierać się, aby zabrać ją do jej własnego domu. Jednak natychmiast zapom-



niał o tym, gdyż zauważył mnóstwo samochodów na parkingu.

Juliet przestała śpiewać.

- Oho, towarzystwo - stwierdziła.

Na parterze paliły się wszystkie światła.

Przeklinając pod nosem, Cody lawirował między samochodami. Przy garażu zakreślił i zatrzymał się tak, aby drzwi pasażera znalazły się bliżej wejścia.

Na ganek wyszedł Bud Southey.

- Co się, u diabła, dzieje? - zapytał Cody.

Juliet nuciła piosenkę.

Cody otworzył drzwiczki, wziął Juliet na ręce i wniósł na ganek. Dozorca zaczął wyjaśniać:

- Nie wiedziałem, co robić, panie McIntyre. Obudził mnie pies. Kiedy wyszedłem, zobaczyłem ich wszystkich w samochodach. Bali się wysiadać, bo Kemo warczał. Pani Oakleaf wyjaśniła mi, co się stało z panną Huddleston. Musiałem ich wpuścić, bo grozili, że będą czekać na ganku.

- Świetnie - mruknął Cody, otwierając kopniakiem drzwi.

W pokoju czekali wszyscy: i ci, którzy brali czynny udział w festynie, i większość organizatorów.

Andrea Oakleaf rzuciła się w jego stronę.

- Nie stójcie tak... Cody, przyniosłeś jej wózek?

- Mam go w samochodzie.

Andrea spojrzała na Jake'a, który w ułamku sekundy pobiegł do samochodu, przyniósł wózek inwalidzki i rozłożył go. Cody posadził Juliet.

- Nie zostaniemy długo - obiecała Babe Allen.

- Chcieliśmy się tylko upewnić, że z Juliet wszystko w porządku... - dodała Melda.

Juliet uśmiechnęła się i uniosła dwa palce.

- Dwie małe, białe tabletki. Czuję się wspaniale.

Cody wycofał się. Jake wyciągnął prezent. Wyjaśnił, że Juliet miała otrzymać go na przyjęciu. Juliet

rozpakowała paczkę i oczom zebranych ukazała się porcelanowa figurka chłopca z jagnięciem na ręku. Nawet Cody, który nie przepadał za tego rodzaju przedmiotami, uznał ją za czarującą.

Juliet uniosła prezent do góry. Błysk w jej oczach spowodowany był czymś więcej, niż dwiema tabletkami.

- Cody, spójrz. Moja ulubiona. Pastuszek z jagnięciem.

Uśmiechnął się, przytakując. Babe wyjaśniła, że wycofano ją z aukcji, gdy Juliet oświadczyła, że podoba jej się najbardziej. Juliet podziękowała wszystkim. A potem Andrea wyciągnęła jeszcze jeden prezent: mosiężną tabliczkę z napisem „Naszemu nieustraszonemu wodzowi”. Miało to upamiętniać pierwszy z wielu festiwali, kierowanych przez Juliet.

Juliet ucałowała tabliczkę i oświadczyła, że jest cudowna. Cody stał z boku, obserwując scenę. Przypomniawszy sobie nieśmiałą myszkę, która niedawno pytała go, czy może poprowadzić tegoroczne Letnie Szaleństwo.

W końcu goście zdecydowali się iść do domu. Cody odprowadził ich do drzwi, słuchając cierpliwie rad Andrei. Miał dbać o Juliet, zapewnić jej dużo odpoczynku i odpowiednie posiłki.

- Zrobię to, obiecuję - powiedział. - Dobranoc.

Z ulgą wrócił do pokoju. Nareszcie został z Juliet sam na sam. Myślał o tym, co ma jej powiedzieć. Chciał, żeby zabrzmiało to prosto i jasno, żeby zrozumiała, ile dla niego znaczy i co mogą przeżyć razem.

- Julie... - zaczął.

Umilkł. Kobieta zasnęła przy kominku.

Westchnął. Poprawił jej koc i poduszkę pod głową. Chciał być przy niej, gdy się obudzi, więc wyciągnął się na sofie.

- Cody?

Ciche wołanie obudziło go.

- Tak? Co się stało?

Otworzył oczy. Świtało. Jęknął, przeciągając się. Sofa była za krótka i raczej niewygodna. Usiadł i przeczesał włosy palcami.

Przypomniał sobie: Juliet, wypadek. Był już ranek, więc prawdopodobnie lekarstwo przestało działać. Spojrzał w jej kierunku. Siedziała na fotelu.

Zerwał się.

- Dostałem w szpitalu tabletki. Mam je w samochodzie. Bardzo cię boli? Zaraz przyniosę.

- Nie. - Wyciągnęła rękę. - Zaczekaj.

- Ale, Julie...

- Chodź tu, proszę.

Podszedł i wziął ją za rękę. Była szczupła i gładka. Pragnął trzymać ją do końca życia.

Stojąc blisko, zauważył cierpienie, malujące się na jej twarzy.

- Boli cię - stwierdził. - Pozwól, że... - Ścisnęła go mocniej za rękę.

- Nie, za chwilę. Najpierw chcę porozmawiać, teraz, póki mam jasny umysł.

- Możemy porozmawiać potem.

Zaśmiała się cicho.

- Już jest „potem”. Nie boli mnie aż tak bardzo. Zależy mi bardziej na rozmowie niż na pozbyciu się bólu.

- Dobrze - oświadczył, siadając na krześle. - Mogę zacząć?

Spochmurniała.

- Tak, jeśli chcesz.

Wiedział, że spodziewa się złych wiadomości. Zaczął mówić:

- Kocham cię i chcę się z tobą ożenić. Zrobisz to? Mam na myśli: wyjdiesz za mnie?

Otworzyła usta ze zdumienia.

- Co takiego?

Powtórzył, wkładając w to więcej uczucia:

- Kocham cię, Julie. Wyjdź za mnie, proszę.

- Chcesz... chcesz się ze mną ożenić?

Uśmiechnął się.

- No jasne.

- Ale myślałam... - wyrwało się jej.

- Trzeba było zapytać - oświadczył.

- Bałam się - wyznała.

- Znam to uczucie.

- Och, Cody. - Wyciągnęła do niego drugą rękę.

Usiadł przy niej i wziął ją na kolana. Zaczął całować jej wargi i doszedł do wniosku, że oboje mają na sobie stanowczo za dużo ubrań.

Potem przypomniał sobie o jej złamanej kostce i bólu.

Niechętnie przerwał pocałunek.

- Teraz mogę przynieść tabletki.

Przytuliła się do niego.

- Poczekaj; za minutę. Muszę ci coś powiedzieć.

Chcę, żebyś mnie zrozumiał, żebyś wiedział, jak to było... dla mnie.

- W porządku, słucham.

Zacęła bawić się guzikiem przy jego koszuli.

- Ja też cię kocham.

- To dobrze.

- Wiedziałam to od naszej pierwszej nocy, ale nie mogłam ci tego powiedzieć. Bałam się, że któregoś dnia zabierze cię inna kobieta, podobna do tej rudej z balu: piękniejsza, bardziej światowa i lepsza ode mnie pod każdym względem. Myślę, że to dlatego pchnęłam cię w jej ramiona na balu. Skoro i tak miałam cię stracić, wolałam już z tym skończyć.

Chciał się odezwać, ale położyła palec na jego ustach.

- Szsz, daj mi skończyć. Przez trzydzieści lat czułam się jak niewidzialna. Miałam wrażenie, że ludzie,

szczególnie mężczyźni, nie dostrzegają mojej obecności. Teraz zmieniałam się i inni zaczęli mnie widzieć. Czasem jednak boję się przebudzenia.

Zaśmiał się i pocałował ją w czubek głowy. Przytuliła się mocniej.

- Zeszłej nocy zrozumiałam, że moje lęki są bezpodstawne. Wszyscy przyszli, żeby sprawdzić, jak się czuję. Byłam im taka wdzięczna i jednocześnie zawstydzona. Miałam tak mało wiary w siebie i w nich. W ciebie też - dorzuciła cicho.

- Zachowywałem się jak idiota - powiedział.

Zachichotała.

- I to ty, który całe życie starałeś się nie być idiotą.

- Miłość spadła na mnie zniecka, ale poprawię się. Daj mi jeszcze czterdzieści czy pięćdziesiąt następnych lat, dobrze?

Pocałowała go.

- Może ustalmy, że całe życie?

- Zgoda. - Wziął ją za ramiona i odsunął nieco. Po chwili powiedział: - A teraz ja muszę ci coś wyjaśnić.

Przestraszyła się nieco.

- Co takiego?

- Nie patrzę przez ciebie, kochanie. Nie patrzę też na inne kobiety. Oślepiłem na wszystkie poza tobą. Wiedziałem to już pierwszej nocy, kiedy pocałowałem cię na ganku. Byłem wtedy za bardzo oszołomiony, żeby to wyznać. Nigdy więcej nie będę patrzeć przez ciebie, Juliet. Nazywaj to miłością czy jak chcesz. Dla mnie nie ma i nie będzie innej kobiety.

Rzuciła mu czułe spojrzenie.

- Naprawdę?

- Tak. Mówię to z całego serca.

Westchnęła i wtuliła się w niego, nie zważając na ból nogi i skurcze pustego żołądka. Pragnęła czuć dotyk rąk Cody'ego.

- Och, Cody, to jest jak sen.  
Zachichotał.
- A więc coś więcej niż tylko kaprys?
- Całkowicie. Ten sen może trwać całe życie, a my zmienimy go w rzeczywistość.

Podąła mu usta do pocałunku.

Rozległo się pianie koguta. Kemo ziewnął głośno. Tegoroczne Letnie Szaleństwo dobiegło końca, ale dla Juliet i Cody'ego zaczął się szczęśliwy czas.

RS